Nr. 24. Warszawa, dnia 3 (15) Czerwca 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2. k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ZNOWU ARMENIA.

Po czterech miesiącach podróży, badań, dochodzeń, sprawozdań — i całej procedury śledczej, mającej schwytać rząd turecki na gorącym uczynku wspólnictwa z kurdami, którzy w samym początku bieżącego roku pozwolili sobie znowu wytoczyć trochę krwi z żył armeńskich, — zdobyła się wreszcie dyplomacya europejska w Stambule na zbiorowe żądanie reform dla nieszczęśliwego narodu. O tem żądaniu jeden z ministrów angielskich, Bryce, kanclerz Lancastru, powiedział niedawno w Aberdeen, że jest ono bardzo skromne, zanadto nawet umiarkowane. A jednakże i od tak skromnego żądania wywrócił się w sobotę zeszłą wielki wezyr, od września 1891 r. czynny, Dżewad pasza. Czego spodziewać się można od Turcyi, nie posuwając się tak daleko, jak liberalny dziennik *Daily News*, który nawet na wojnę chętnieby się odważył, aby tylko wyrwać armeńczyków ze szponów *of the unspeakable Turk?*

Wskazówkę dać może zmiana w wezyracie. Na miejsce człowieka, niechętnego dla reform, wstąpił człowiek, który dotychczas odznaczał się i wyrozumiałością dla chrześcian-europejczyków i postępowemi dążnościami w ulepszaniu bezładnego zarządu tureckiego. Jest nim Mehemed-Said, „Małym Saidem“ zwany, częściowy już reformator sprawiedliwości i skarbowości tureckiej. Był on już raz w r. 1879, w epoce po-Midhatowskiej, kiedy jeszcze w powietrzu czuć było zapach konstytucyi, przez Midhata wprowadzonej, prezesem ministrów, a w końcu r. 1882 do października 1885 — wielkim wezyrem. Jeżeli go teraz Abdul Hamid powołuje na następcę człowieka, który nie miał żadnego sztandaru, prócz proporczyka z porządkiem i powagą władzy sultańskiej, domyślać się wolno, że ma zamiar przychylić się do żądania mocarstw, jeżeli nie wprost bezpośrednio, to przez wytworzenie takich okoliczności, któreby już w sobie samych przyniosły dodatnią odpowiedź na *gravamina* europejskie i skargi samych armeńczyków.

Takby się zdawało, ale czy rzeczywistość znowu nie zagna logiki w kąt, jak ją zagania codziennie w małych i wielkich sprawach? Czy zamianowanie polityka, mającego dobrą przeszłość, dobrą opinię, nie jest tylko wybiegiem, użytym dla przetrzymania dyplomacyi, która szybko się nuży wszelkiemi „akcyami“ bezinteresownemi, jaką według p. Bryce'a jest i obecna, przynajmniej co do Anglii? Nawet osadzenie na ministeryum spraw zagranicznych człowieka z głową otwartą, Turchana baszy, który prezydował właśnie w tych czasach w jakiejś komisyi ogólnych reform, mających objąć całą monarchię turecką, — nie może mieć niezawodzącej siły w domniemaniach. Dały się już aż nadto poznać te liberalizmy, te humanizmy i postępowości tureckie — dały się nawet we znaki tym, którzy z nich korzystać mieli. Od Europy tu wszystko zależy, nie od Turcyi, z Mehemedem, czy z Dżewadem. Jeśli Europa zechce, to armeńczykom i bez wojny będzie lepiej; jeśli, jak w r. 1880, w żywszem tempie się wycofa, niż się była wysunęła — to kurdowie dalej mordować będą biednych potomków Haika.

Przed samą dymisyą Dżewada w kancelaryi jego opracowano notę, przynoszącą na owo zbiorowe żądanie odmowę, motywowaną spokojnie, interesów państwa i porządku państwowego broniącą, gotową w niektórych punktach dać coś, ale nie to, czego chce Europa — jednem słowem odmowę. Dziennikarstwo podało już jej treść szczegółową, telegramy już o niej donosiły, mówiono nawet o *ultimatum*: a tymczasem, po przewrocie sobotnim dyplomaci w Stambule zgoła nic o nocie odmownej nie wiedzą. Może być, że właśnie przewrot dokonał się pod ich naciskiem — a w takim razie domniemania, wysnuwane z samego wystąpienia przed rampą teatralną w Turcyi takiego człowieka, jak Mehemed Said, zyskałyby poważną podstawę. Byłoby to zmiecenie dawnej a wprowadzenie nowej polityki. Lecz żadne fakty dotychczas nie wspierają takiej możliwości — i w tej chwili jeszcze nie można jej wciągać w rachunek, jako danej, mającej rzeczywistą wartość. Stać trzeba raczej przy tem, że Turcya zajęła stanowisko grzeczne pozornie, dobrotliwe i zapowiadające ustępstwa, ale w istocie po dawnemu przyjmuje Europę starym sułtańskim ozogiem.

Żądania Europy są tak skromne, że tłomaczenie się Porty zasadą, iż dawanie czegoś samym tylko armeńczykom będzie uznawaniem kwestyi armeńskiej, jest prostym tylko wybiegiem. Może go już nie użyje następca Dżewada, ale dotychczas nic innego z ust wezyrowskich nie wyszło. Europa żąda: 1) aby każdy wali (gubernator generalny, mający pod sobą mutessarifów, gubernatorów) mianowany był przynajmniej na lat pięć i za zgodą mocarstw

opiekuńczych, tam, gdzie ludność jest w większości swej armeńską, tylko z pomiędzy chrześcian; 2) aby Porta ustanowiła umyślnego inspektora generalnego dla siedmiu prowincyj armeńskich, które mają być zbite w cztery; 3) aby rozbroiła kurdów; 4) aby stosownie do procentu samej ludności składała żandarmeryę z chrześcian i turków; 5) aby policyę wiejską uzbroiła wojskowo; 6) aby zastąpiła podatek dziesięcinowy kontrybucyą ogólną, na cały wilajet nakładaną; 7) aby we wszelkich procesach, do których wplywają armeńczycy, nakazywała wydawanie kopij armeńskich z aktów urzędowych tureckich.

Takie są żądania, nieskończenie pokorniejsze od słynnego elaboratu z d. 27 sierpnia 1880 r., który Bismarck doradził Europie wrzucić do pieca—i Europa wrzuciła. Czy i teraz powtórzy się coś podobnego? Czy dla postępowego Mehemeda ta szczypta koniecznej opieki będzie już całą górą łask? I czy wylądowanie armeńczyków z Ameryki w Azyi Mniejszej nie wywrze na obie strony zbawiennego nacisku? Zobaczymy.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Najpoważniejszym faktem z ubiegłego tygodnia jest nagła dymisya Dżewada baszy, wielkiego wezyra tureckiego i zastąpienie go przez Mehemeda Saida. Tamten był zachowawcą; ten jest postępowcem. Wypadek stał się dnia 8 b. m., a związany jest z dyplomatycznym rozwojem sprawy armeńskiej, której poświęcamy dziś umyślną wzmiankę. Flota angielska demonstracyjnie zbliżyła się do Dardanellów. Mętna wiadomość przynosi jakieś wylądowanie armeńczyków zbrojnych z Ameryki na pobrzeża Azyi mniejszej, nawprost Cypru.

Napad na agentów konsularnych Rosyi i Anglii wydarzył się nie w Dżeddah, ale w Dżyddah arabskiej nad morzem Czerwonem: porcie Mekki. Nie sami tylko beduini go wykonali, ale cała fanatyczna ludność w zmowie z fizycznymi sprawcami, którzy w intelektualnych znaleźli potrzebny do przestępstwa rozpęd. Poszło o przepisy policyi lekarskiej, wydane przez konsulaty, zniesione zaś przez miejscowego zarządcę tureckiego, na żądanie ciemnej a niechlujnej ludności. Turcya przyrzekła odrazu zadośćuczynienie, i sprawa ta nie wywoła już zatargu, o ile się na miejscu nie rozogni.

Delegacye austro-węgierskie rozpoczęły czynności swe d. 7 b. m.; przedlitawska wybrała sobie na prezesa ks. Lobkovitza, węgierska — Aladara Andrassego; vice-prezesem w pierwszej jest Filip Zaleski. D. 8 b. m. cesarz przyjmował delegatów. W odpowiedzi na przemowy prezydyalne nazwał stosunki zewnętrzne „nader pomyślnemi." Wzrost wymagań pieniężnych na wojsko i flotę nie jest wyższy od przeszłorocznego (4 mil. guld.); idzie tylko o utrzymanie zbrojności „na wysokości zadania." Bośnia i Hercegowina pokrywają już własne swe potrzeby. O trójprzymierzu cesarz ani jednem słowem nie wspomniał. Za to p. Gołuchowski w *exposé* w delegacyi węgierskiej d. 11 b. m. od trójprzymierza zaczął: istnieje ono i istnieć nie przestanie dla dobra Europy, mając jedynie pokój jej na celu. Nic się w polityce dotychczasowej nie zmieni: kierunek, droga i sam sposób posuwania się po niej pozostaną, jak są. Węgrzy przyjęli oświadczenie kanclerza gorącymi okrzykami.

We Francyi d. 10 b. m. było znowu małe trzęsienie ziemi. Sprowadziła je dawno już wniesiona, lecz ustawicznie odrzucana interpelacya radykalistyczna pp. Millerand i Rouanet. Zwięzły buletyn tak ją przedstawia: P. Millerand ganił wysłanie floty francuskiej na uprzejmości kielskie i politykę francuską na dalekim Wschodzie i radby już dziś wiedzieć: czy przynajmniej cesarz Wilhelm wywdzięczy się Francyi za jej obecne poświęcenie odwiedzeniem wielkiej wystawy w r. 1900? P. Hanotaux, minister spraw zagranicznych, który już raz w obu przedmiotach głos zabierał w senacie, zabrał go teraz w Izbie: do Kielu prowadzi Francyę tylko uprzejmość międzynarodowa: niech świat ją zna, obecność jej floty stwierdzi potęgę i zamiar niezrzekania się raz zdobytego stanowiska. Na wschodzie prócz innych pobudek działała i ta, że tam, gdzie Rosya miała zostać pokrzywdzoną, Francya powołaną była do wystąpienia. Izba ten ustęp mowy ministeryalnej pokryła oklaskami. W ostatecznem głosowaniu rząd miał przeciwko sobie tylko 105 deputowanych; tyluż mniej więcej wstrzymało się od głosowania, 362 oświadczyło się za rządem.

Na Madagaskarze gen. Duchesne przebył już czwartą część drogi z Majungi do Antinanariwo i stanął w rozwidleniu trzech rzek, za którem oczekiwali go hawajowie. Jeżeli nie pierzchnęli, musiała się odbyć największa z dotychczasowych rozpraw orężnych. Pochód jest powolny, a opóźniają go i lasy i rzeki i pustynie i wreszcie — choroby. Howajowie powinniby ustępować w głąb po obu stronach pochodu, aby mieć przed sobą odsłonione skrzydła i tyły nieprzyjaciela.

P. Crispi otworzył d. 10 b. m. sejm włoski. Królowi Humbertowi napisał mowę, a w niej, zabawiając się w filozofię polityczną, twierdzi, iż wybory (które on sam zrobił) dowodzą ze strony „kraju" oddania pierwszeństwa sprawom finansowym przed wszelkiemi innemi, w tych zaś sprawach finansowych „oszczędność" jest hasłem wszelkie inne głuszącem. Dużo już zrobiono, reszty dokona rozsądek w przymierzu z czasem. Król radby swego prawa łaski użyć szczodrzej, niż dotychczas, ale czeka na uspokojenie się umysłów. Niech mu dobrzy obywatele dopomogą. Stosunki z obcymi przyjazne, najgoręcsze z Anglią. W Afryce dąży się tylko do zabezpieczenia tego, co się już ma. Naród obchodzić będzie 25-lecie wkroczenia do Rzymu (20 września).

P. Rosebery leczy się i wypoczywa. Wypoczywają i gminy i lordowie, przerywając krótkotrwałą ciszę mowami przeciw nudom.

Reforma wyborcza w Austryi tylu znalazła niechętnych w komisyi, że tylko usilne starania rządu będą mogły wepchnąć projekt p. Rutowskiego do Izby, po jakiem takiem załataniu i zakitowaniu szpar w dziele, przypominającem niezdarną, małomiasteczkową stolarszczyznę.

BADANIA NAUKOWE.

„SOCYO-ANTROPOLOGIA."

Zbadanie, na czem polega istota cywilizacyi nowoczesnej, jej dziejów i zasad, na których się ona opiera, zrozumienie przyczyn nierównomierności w postępie, oraz powodów za-

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ TRZECIA.

ZWIASTUN.

Widok 2.

Przyszedł do nich starzec mały, suchy, łysy, z przymrużonemi oczyma, z ustami zapadłemi w szczęki bezzębne, któremi ciągle poruszał, przesuwając co chwilę przez wargi cienki język.

Heron.

Dzień dobry, Pirusie.

Pirus.

Kto to? A!.. Heron, miły oku Heron...

Heron.

I brat jego żony, Astjos.

Pirus.

Śliczny chłopiec!.. Gdybym mógł być nim od zachodu do wschodu słońca, dopiero następne pokolenie tej okolicy szczyciłoby się cnotliwemi żonami. Skądże to?

Astjos.

Z Oksyny, w Protoryi.

Pirus.

I wielu jest tam takich?

Heron.

Całe wsie i gromady.

Pirus.

Cicho, przez bogi! Gdyby niewiasty to usłyszały, puściłyby się wpław przez morze. Tymczasem miłosierdzia, piękny Astjosie, nad niemi, to jest nad nami... Co to za uda! Czy go Satar widział?

Heron.

Nie. Żeby jednak nie schudł, powiedz, Pirusie, co mamy teraz zjeść i jak się potem zabawić?

Pirus.

Naprzód zjeść obfitą porcyę powietrza.

Heron.

Jużeśmy to zrobili.

Pirus

Tak, ale pewnie połykaliście je, jak byczki serwatkę.

Heron.

Powoli... z uwagą...

Pirus.

No to powiedzcież mi, jaki ma smak powietrze dzisiejsze?

Heron

Źródlanej wody.

Pirus.

A według ciebie, Astjosie?

Astjos.

Rosy.

Pirus.

Widzę, moi przyjaciele, że umiecie tylko wytarzać się na darach boskich, ale o ich wartości nie macie żadnego pojęcia. Dzisiejsze powietrze ma smak ananasu. Skosztujcie je nosem... prawda? Przyjemne, ale za mocno podnieca młodych; za to dla starych wyborne. Wczoraj rano było twardo i mało soczyste, jak niedojrzała rzepa, to też mi zaszkodziło. I gdyby nie wieczorne, które przypominało świeżą oliwę, nie mielibyście dziś przyjemności korzystania z moich nauk.

Heron.

Słuchając ciebie, zdaje mi się, że jem obfite śniadanie.

Pirus.

Nie żartuj... Człowiek często ogląda się w życiu, ale nigdy nie może wrócić, chociażby chciał podnieść szczęście, które w pośpiechu minął. Ja rzucam przed was

stoju miejscowego, wszystko to są zagadnienia przyrodniczo-antropologiczne!“ Tak ktoś przed ćwiercią wieku odezwał się o obowiązkach antropologii. Od tego czasu zrobiono wiele prób w tym kierunku: usiłowano z antropologicznego punktu widzenia, tj. jedynie na podstawie fizyczno-duchowych właściwości człowieka, wyjaśnić upadek jednych cywilizacyj i wzrost innych, przekształcenia, jakim podlega ustrój społeczny, wreszcie każdorazową jego budowę. Wysnute stąd teorye odznaczają się skłonnością do nadmiernego upraszczania sprężyn dziejowych. Znosząc zaś zawiłość rozwoju, tem samem fałszowały one historyę. Posiadają tylko jedną zaletę: śmiałość wniosków z obfitością paradoksów, nie przekonywających umysłu, lecz orzeźwiających go. Świeża praca Ottona Ammona*) nie może się nawet tem poszczycić. Jest arcy nudną dla każdego, ktokolwiek zna już zblizka socyologiczne doktryny antropologów. Wyobraźmy sobie czystej krwi liberalnego narodowca pruskiego, którego punktami wytycznymi ideałów są: wielki Bismarck, rodzinna pierzyna z dodatkiem haftowanego przez żonę szlafroka i dzielni ziomkowie z pikielhaubą, a będziemy mieli duchową fizyognomię tego pisarza. Paradoksów, których bez liku dał Lapouge lub Penka, Ammon obawia się jak zarazy. Nie chciałby zanadto zagalopować się w jakąkolwiek stronę, nawet kiedy broni wyłuszczonych trzech fundamentów wielkiego *Vaterlandu*. Naciąga fakty, byleby tylko wyszło to, co z góry sobie postanowił. Jego socyal-antropologia w nauce jest bańką mydlaną, którą zachwycać się mogą tylko prostaczkowie. Ale odznacza się też ona pewną zaletą: żaden z antropologów, piszących ćwiczenia na tematy socyologiczne, nie zadał sobie takiej pracy i nie usystematyzował w zwartą całość, ogarniającą życie gromadne, tak różnych i tak rozpierzchłych wywodów. Ammon różni się od nich narodowo-liberalną powściągliwością,' ale natomiast jest wybornym okazem do studyów nad tendencyami, właściwemi całej szkole antropologicznej w społecznoznawstwie. Wszystkie dotychczasowe teorye o istocie społeczeństwa, jego zdaniem, grzeszą pospołu i każda z osobna tem, że nigdy nie brały pod uwagę umysłowego uposażenia członków pewnego organizmu narodowego. Główne zaś zadanie „socyo-antrologii“ powinno polegać na tem, ażeby odkryć, jak dalece człowiek może oddziaływać na społeczeństwo, oraz w jakiej mierze panują niezłomne siły przyrody, przed któremi musi on ugiąć swoją wolę.

Przyjrzyjmy się tej analizie.

I.

Nierówność jest podstawowem zjawiskiem życia społecznego — nierówność charakterów i uzdolnień umysłowych, potrzeb i instynktów. Istniała ona zawsze w przeszłości, jedynie może nie w tak jaskrawej postaci, i będzie też nadal istniała, może jeszcze bardziej spotęgowana. Z punktu widzenia zarówno rozwoju społecznego, jako też każdorazowego ukształtowania stosunków w narodzie, najważniejszą rolę odgrywają różnice, dotyczące umysłowości i pociągów moralnych. Obfitość w pewnem społeczeństwie typów przedsiębierczych, zdolnych do inicyatywy ideowej, stanowi jeden z najpierwszych warunków rozwoju; przeciwnie, kiedy naród zubożeje pod względem antropologicznym i stanie się mało zasobny w takie osobniki, narażony bywa na zastój i nawet na uwstecznienie.

Kilkakrotnie usiłowano wynaleźć wzór, przedstawiający rozmieszczenie w gromadzie społecznej przedstawicieli równego stopnia uzdolnień i energii. Z pośród tych prób najpierwsze miejsce należy się usiłowaniom angielskiego badacza Galtona, znanego ze swoich dowcipnych spostrzeżeń w zakresie władz ducha naszego oraz praw, rządzących przekazywaniem ich z pokolenia na pokolenie. Uczony ten starał się rozwiązać podjęte przez siebie zagadnienie za pomocą wyników nauki o tak zwanych kombinacyach.

Weźmy zwykłą kostkę sześcienną, na której każdym boku jest umieszczona jedna z pierwszych sześciu cyfr, a zatem 1, 2, 3, 4, 5, 6. Rzucając ją na stół, spostrzeżemy, że przy bardzo wielkiej liczbie wypadków, prawdopodobieństwo wyjścia dla którejkolwiek z cyfr wypisanych, jest jednakie, mianowicie, iż każda wychodzi raz jeden na sześć rzutów. Zamiast jednej kostki, użyjmy teraz np. czterech, które rzucajmy pospołu i jednocześnie. Każdorazowo padną cztery cyfry, dające po dodaniu do siebie pewną nową sumę. Największą z otrzymanych tym sposobem sum będzie 24, kiedy wypadną same szóstki; najmniejsza będzie równą 4, tj. gdy dostaniemy w rzucie same jedynki. Inne będą wahały się pomiędzy temi krańcowemi granicami. Teorya, zajmująca się kombinacyami, uczy nas, że różnych rzutów, tj. różnych kombinacyj, będzie 1296, że w tej liczbie będzie tylko jeden rzut taki, któryby dostarczył nam najwyższej z pośród sum możliwych, jako też tylko jeden, dający minimum; że rzutów, dających pośrednie, niższe względnie wyższe sumy, będzie już kilka; jeszcze niższe lub jeszcze wyższe — kilkanaście itd., w miarę posuwania się w kierunku średniej sumy, kiedy liczba rzutów, dających taki rezultat, będzie największą. Poniżej przytoczona tablica uwydatni nam wyraźniej to rozmieszczenie:

Istnieje rzutów, dających:

sumę =	24	ogółem	1	rzut	sumę =	4,	ogółem	1	rzut
„ „	23	„	4	„	„ „	5	„	4	„
„ „	22	„	10	„	„ „	6	„	10	„
	.	.							
	.	.							
	.	.							
„ „	18	„	80	„	„ „	10	„	80	„
„ „	14	„	140	„	„ „	23	„	140	„

sumę 14 . . . 146 rzutów.

A zatem najwyższa suma, względnie najniższa, wypadnie zaledwie raz jeden na 1296 rzutów, tymczasem dla pośredniej, odpowiadającej cyfrze 14, posiadamy prawdopodobieństwo, iż otrzymamy ją raz jeden na 8 — 9 przypadków!

Galton przyrównał duszę ludzką do kilku takich kostek, rzucanych jednocześnie, lub ściślej do kombinacyi cyfr, na nich wypisanych; jedną kostką są władze umysłowe: pamięć, wyobraźnia, zdolność rozumowania, drugą — zalety moralne, np. uczciwość, hart ducha, prawdomówność, jeszcze inną cechy fizyczne — zdrowie, siła fizyczna. Każda z tych właściwości posiada jeszcze rozmaite napięcie: czyjaś wola może odznaczać się mocą i stanowczością, ale też może być chorobliwie słabą i niedołężną, lub przedstawiać różne szczeble, wypełniające odległość pomiędzy punktami krańcowymi. Natura pojedynczego człowieka — to rzut kombinacyjny tych wszystkich kostek. Z góry więc można przewidzieć ostateczny rezultat wywodów badacza angielskiego. Jego zdaniem, rozmieszczenie uzdolnień pomiędzy ludźmi podlega tym samym prawom, jak uszeregowanie sum, które wypadły przy rzucaniu kostek. Najwyższa suma, tj. wyjątkowo sprzężenie różnych uzdolnień w najwyższem napięciu, będzie w społeczeństwie zdarzało się bardzo rzadko, jako też wyjątkowa kombinacya w kierunku ujemnym. Jądro zaś narodu będą stanowi-

*) *Die Gesellschaftsordnung und ihre natürlichen Grundlagen.* Entwurf einer Sozial-Anthropologie.

---

mądrość, w której jak w owocu granatu tkwią jagody szczęścia. Powietrze jest najpierwszą i najważniejszą potrawą w pożywieniu człowieka.

Heron.

Wierzę, wierzę, ale co mam zjeść potem?

Pirus.

Trzy gołębie jajka rozbite i zagotowane w szklance dobrego wina.

Astjos.

Po takiej uczcie nie miałbym siły mrugnąć jednem okiem na kobietę.

Pirus.

Co? Zaraz po śniadaniu mrugać na kobiety?

Astjos.

Więc cóż robić?

Pirus.

Spożyć dużo powietrza.

Heron.

Ależ, Pirusie, my nie jesteśmy bębny do nadęcia!

Pirus.

Jak wam się podoba. Pożerajcie sobie wszystko, jak morze, ja nie będę tego trawił. Wreszcie z waszymi żołądkami odważyłbym się zjeść węgorza w słonym sosie z mleczą makreli. Wyśmienita trucizna! Uważajcie, jak tylko podniebienie poczuje ją na języku, zaraz spłaszczy się, potem wypukli i opadnie chciwie na lubą zdobycz. Są to jedyne dwie ryby, które się godzą na talerzu, chociaż w żołądku znowu się kłócą. Winien temu głównie węgorz, swarna bestya! Ja już go pokonać nie mogę, ale wy, którzy macie w brzuchach tak gorące piece...

Heron.

Zatem idziemy na węgorza.

Pirus.

Tylko wracajcie prędko, bo zaraz ze wszystkich domków wysypie się na wybrzeże cała bogini piękności, rozmieniona na drobną monetę ładnych kobiet.

Heron.

Przybyły nowe?

Pirus.

Wczoraj przyjechało kilka z Ontara. Zwłaszcza jedna, żona dowódcy wojsk tamtejszych...

Astjos.

Jala?

Pirus.

Znasz ją? Mój drogi, powiedz mi, czy dobrze zgaduję: musi ona w dotknięciu być podobna do śliwki, a w smaku do brzoskwini?

Astjos.

Postaram się zaspokoić naprzód ciekawość moją, a potem twoją.

Pirus.

Uciekajcie chłopcy, idzie Satar, rzeźbiarz, który zacznie oglądać Astjosa i nie puści was na śniadanie. Wyobraźcie sobie, ten potworek czeka, aż bardziej schudnę, a wtedy obiecuje mnie ulepić z gliny.

Widok 3.

Satar, który na wątłym korpusie i krótkich nogach niósł ogromną, obficie uwłosioną głowę, mijając Astjosa i Herona, zatrzymał ich długo w spojrzeniu.

Satar.

Kto ten drugi?

Pirus.

Brat żony Herona, który mi nieco przypomina, jak wyglądałem za młodu.

Satar.

Gdyby jego łydki wilk wyssał z krwi i mięśni, jeszcze byłyby tęższe, niż kiedykolwiek twoje. Ty się nie znasz na tem.

Pirus.

Ja się nie znam na łydkach? He, he, he... Miałem takie, że w jedną schowałbyś się cały, a głową swobodnie poruszał w mojem kolanie.

ły osoby, posiadające zdolności natężenia średniego. Wprowadzając specyficzny współczynnik, charakteryzujący niby społeczeństwo angielskie, oraz wyodrębniając, co do napięcia, istniejące w niem uzdolnienie na 16 grup, a mianowicie 8 powyżej i 8 poniżej normy przeciętnej, Galton otrzymał, że na milion obywateli kraju wypadło:

1.	uzdolnień, zaledwie wychylających się po nad normę przeciętną	256,791 osób
2.	uzdolnień już wyższych	162,279 „
3.	względnie wybitnych	63,563 „
4.	bardzo wybitnych	15,696 „
5.	zwykłych talentów	2,423 „
6.	wyższych talentów	233 „
7.	wyjątkowych talentów	14 „
8.	geniuszów	1 „

Podobną też tablicę układa w kierunku ujemnym, tylko z tą różnicą, iż osoby, które znajdują się na samym dole hierarchii uzdolnień, jako pozbawione właściwości, niezbędnych dla życia społecznego, są wyrugowywane samym biegiem wypadków, i tem samem szereg ów bywa tam obcięty i niedokończony.

W wywodach Galtona istnieje błąd, który usiłował on usunąć przez wprowadzenie specyalnego współczynnika, choć nie zupełnie. Albowiem natura ludzka nie jest sumą rzutu niezależnych od siebie kostek, z których każda może przybrać dowolne położenie. Raczej należy przypuścić, że niektóre z pośród nich są wzajemnie sprzężone. Wyobraźmy sobie, że dwa lub trzy z używanych sześcianów są tak połączone z sobą, iż mogą dawać tylko pewne, oznaczone sumy, innych zaś — nie, z powodu istniejącej właśnie wzajemnej zależności. Stosunki społeczne jeszcze silniej nadwyrężają działanie owej swobodnej kombinacyi rzutów. Uzdolnienia wszelkiego rodzaju dążą do przejścia na potomków. Gdyby każda władza ducha, względnie wszelkie jej napięcie, posiadało nieograniczone szanse skojarzenia się małżeńskiego ze wszelkiem innem, to tablica kombinacyjna rzutów swojem ukształtowaniem przedstawiałaby istotne rozmieszczenie w społeczeństwie właściwości umysłowych, względnie moralnych. Ale w rzeczywistości bywa inaczej. Zaiste, przyjrzyjmy się zblizka chociażby dążnościom małżeńskim osób, dotkniętych nerwicą. Rozstrój nerwowy w obecnej epoce ogarnął przedewszystkiem pewne warstwy społeczne: miejskie, z pośród nich zaś przeważnie „inteligencyę.“ Tymczasem jest to grupa, hołdująca niemal zwyczajom kastowym: łączy się w związkach małżeńskich tylko w swojem gronie. Swobodna gra sił społecznych, któraby odtwarzała rzuty kostek, nie istnieje, i neuropatycy, pobierając się pomiędzy sobą, posiadają zwiększone szanse ukazywania się na świecie. Podobnie koła zbrodnicze, odznaczające się naruszoną równowagą instynktów, czynią to samo itd. Tablice kombinacyjne zostają więc nadwyrężone w swojej naturze zewsząd i przedstawiają jedynie wzór idealny, w którego kierunku społeczeństwo ciąży, lubo nigdy go nie dosięga skutkiem istnienia wyłuszczonych przyczyn.

Są to wszystko czynniki, jedynie powstrzymujące, ale bynajmniej nie znoszące działania prawa zasadniczego, tego, które głosi, że liczba wyjątkowo uzdolnionych jednostek w społeczeństwie jest bardzo małą, mniej zdolnych — większą, największą zaś — przypadająca na osoby zwykło. Jest to prawda, przeciwko której niepodobna nic powiedzieć. Odpowiednio do tego, możemy przedstawić sobie teoretycznie ustrój, czyniący zadość wypływającym stąd następstwom. Powinien on mianowicie polegać na tem, ażeby umożliwiał swoim obywatelom należyte zużytkowanie wszystkich uzdolnień i dawał im stanowiska, odpowiadające zawartemu w ich umyśle zasobowi antropologicznemu, co większa, ażeby przed zdolniejszy mistawiał możliwość przekazania swoich cech jak najliczniejszemu potomstwu, jednocześnie utrudniając to osobom, stojącym bliżej szarego końca hierarchii umysłowej. Tę zasadę doboru, na podstawie pracowania według uzdolnień i spożywania stosownie do potrzeb, możemy sobie wyobrazić, jako zawartą w regułach moralnych, które tkwiłyby w umyśle członków pewnego społeczeństwa: upośledzeni uważaliby za swój obowiązek moralny nie pozostawiać potomstwa. Byłoby to rozwiązanie kwestyi ze współudziałem wolnej woli i społecznej świadomości. Ale społeczeństwo ludzkie nigdy nie przedstawiało tak celowo i świadomie prowadzonej maszyneryi. Dotychczasowe zmiany w antropologicznym składzie narodu dokonywały się żywiołowo, tj. nieświadomie dla człowieka, i tem samem mogły biedz zarówno w dodatnim, jako też w ujemnym kierunku, między innemi zaś ogałacać społeczeństwo z najdzielniejszych pierwiastków. Również nie widzimy przyczyny, dla której mielibyśmy przyjąć, ażeby podczas cywilizacyi różne czynności społeczne były wykonywane przez osoby z odpowiedniem uzdolnieniem — mówimy o całych warstwach.

Ale innem jest zdanie Ammona. Usiłuje on dowieść, że rozwój historyczny polega na bezustannem wydobywaniu się na wierzch żywiołów najdodatniejszych, które wydostają się z nizin społecznych, jak bańki powietrza na powierzchnię wody. Ślepa przyroda jest najlepszym regulatorem. „Dobór naturalny odrzuca zawsze wszelką przesadę. W ustroju, który goni za zyskiem i zapomniał o dobrobycie kraju, rzuca on swój głos na korzyść dobra ogólnego. Gdzie znowu ludzie są narażeni na niebezpieczeństwo zamienienia się na pełnych poświęcenia aniołów, tam dobór naturalny działa w kierunku powołania do życia samolubów czynu.“

W przyszłym numerze przyjrzymy się całokształtowi wywodów „socyo-antropologii,“ opartej właśnie na założeniu różnic umysłowych pomiędzy ludźmi i zdrowych pierwiastków w działaniu ślepych sił przyrody społecznej.

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Pisma Jordana (Juliana Wieniawskiego), tomów sześć, Kraków, nakład G. Gebethnera i Sp., 1894.

Autor w przedmowie do ogólnego wydania swych dzieł i w toku niektórych opowiadań streścił to wszystko, co o jego życiu i stanowisku osobistem wiedzieć potrzebujemy dla oceny zawodu jego pisarskiego. Kształcił się Jordan w dawnym Instytucie gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa pod Warszawą, któremu kilka miłych kartek poświęcił we „Wspomnieniach marymonckich“ tomu szóstego, tudzież w *Listach do Pana Jana*, tam, gdzie opisuje najpierw dawną, z przed lat czterdziestu wycieczkę szkolną z ukochanym prof. Wojciechem Jastrzębowskim na wieś, następnie w kwietniu 1882. gdy kolegów wzywa do składek na zapewnienie schorzałemu nauczycielowi znośniejszego bytu na stare lata, wreszcie, gdy w lutym 1883 rzewnie rozpamiętywa zgon Jastrzębowskiego (t. III, str. 65 — 83, 176 — 184). Błogie czasy „pierwszych prelekcyi studenckich,“ „pierwszych

---

Satar.

To musiałeś chyba na nie wciągnąć szczuplejszą skórę, bo nie widzę zmarszczek.

Pirus.

A te fałdy na nogach i rękach, jak u słonia?

Satar.

Prawda, co za wały i wąwozy! W tych przepaściach niewątpliwie mszyca by się ukryła. Mógłbym już umrzeć, bo nic wspanialszego nie zobaczę, ale skoro żyć mam, powiedz mi, dokąd odjechała najpiękniejsza kobieta — Orla?

Pirus.

Żona Herona odjechała?

Satar.

Odpłynęła statkiem.

Pirus.

Nie słyszałem. Heron nic mi nie wspomniał.

Satar.

Jestem zrozpaczony. Kiedy tu przybyła z mężem, starałem się zobaczyć ją codziennie i zapamiętać jakiś szczegół z jej twarzy, ażeby go natychmiast wyrzeźbić w marmurze. Miałem nadzieję, że tym sposobem odrobię całą jej głowę i że sława tego dzieła przeniesie moje imię do nieśmiertelności. Bo rzeźbiarz, któryby zdołał odtworzyć wiernie tę cudowną kobietę, byłby pierwszym artystą po bogach.

Pirus.

I dużo już wyrzeźbiłeś?

Satar.

Prawie nic, chociaż od trzech tygodni pracuję i po sto razy dziennie wybiegałem, ażeby jej się przypatrzyć. Nie możesz mieć pojęcia, jak trudno uchwycić te szczególne linie i płaszczyzny. Zdaje się, że bóg wcielił w niej nierozwiązalne dla geniuszów zagadnienie. Zacząłem rzeźbić jej nos: przyjrzałem mu się niezliczoną ilość razy, a chociaż mam w pamięci tak dokładny jego odcisk, że nie brak ani jednego zgięcia, ani jednej kreski w siatce skóry, nie mogę go skopiować. W ustawicznych przeróbkach wychodzą mi z pod dłuta nawet ładne, ale żaden z nich nie jest nosem Orli. Wczoraj wreszcie jedną szczęśliwą poprawką osiągnąłem znaczne podobieństwo i dziś właśnie, kiedy chciałem je sprawdzić, wyjechała.

Pirus.

Zostawiła ci na pocieszenie łydki brata, które możesz studyować.

Satar.

Gdybym był tak głupim, jak ty, Pirusie, to bym się wstydził żyć tak długo.

Pirus.

Naprzód głupoty na świecie nie ma, są tylko odmiany mądrości z rozmaitym smakiem; powtóre, jeżeli tacy ludzie istnieją, to należą do nich przedewszystkiem nieudolni rzeźbiarze, którzy, nie umiejąc wykuć w marmurze ładnego nosa, żądają od znajomych, ażeby wraz z nimi nad tem płakali.

Satar.

Nieudolny rzeźbiarz!.. Tobie, sucharku, zdaje się, że twarz pięknej kobiety tak łatwo wymodelować, jak ten dziurawy garnek z dwoma uszami, który się nazywa twoją głową. Prawda, daremnie usiłuję wydobyć z marmuru nos Orli, ale potrafię dziś do południa dziesięciu małych chłopców, którzy wyławiają muszle z morza, nauczyć lepienia z iłu twojej postaci. Przed wieczorem jeszcze ustawię wzdłuż ulicy szereg posążków, z których każdy będzie podobniejszy do ciebie, niż ty do twego ojca.

Pirus.

Wierzę, wierzę, ale po co ten gniew? Nie myślałem ci zaprzeczać talentu.

Satar.

Owszem, myślałeś, chociaż wiesz, że w Godonie nie ma ani jednej większej świątyni, w którejby nie było statuy, wy-

uczuć rzewnych," „pierwszych szczytów szczęścia," wpłynęły na późniejszy, dojrzalszy okres obcowania człowieka i pisarza z otoczeniem w sposób dodatni, dobroczynny. Agronom fachowy osiadł na roli, i jak dziś utrzymuje, chwile, które spędził wśród ogorzałych, zapracowanych współobywateli, zaliczał zawsze do najpiękniejszych w swej młodości, a ilekroć (jak zapewnia dalej) po dniu ciężkiej robocizny, wśród ciszy i osamotnionego wypoczynku, brał się za pióro, wyłącznie z tego wiejskiego świata, z tej nieprzebranej sielskiej skarbnicy czerpał materyały do swoich „Wędrówek delegata" (tom pierwszy), do „Przygód Marka i Agapita podczas wystawy rolniczej w Warszawie" (t. drugi), do „Listów Pana Jordana do Pana Jana" (t. trzeci), wreszcie do szkiców i obrazków „Z boru i dworu" (tomy czwarty i piąty).

Na widownię publiczną wystąpił Jordan dość przecież późno i jakby z obawą, niepewnością niejaką. Nawet obecnie, kiedy już od tej doby oddziela autora spory, jubileuszowy niemal kawał czasu, bardzo jeszcze żywo i gorąco odzywa się o p. Edwardzie Lubowskim, że mu „dyskretnie" pośredniczył w nawiązaniu i utrzymaniu długoletniego *pseudonimowego* współpracownictwa w „Tygodniku ilustrowanym," redagowanym wtedy przez czcigodnego Jenikego. Jednocześnie, ze znaczącym naciskiem oświadcza, że w epoce, kiedy współpracownictwo to rozpoczynał, zrósł się już był duszą całą z warstwą ziemiańską, „jak gdyby z jej krwi i kości był powstał," zaznaczając zarazem z siłą i godnością, że „nie związki ciała, lecz ducha najściślej ludzi z sobą łączą," gdyż te drugie, jako wytwór wspólnych na świat poglądów, jednych i tych samych pragnień, jednakich wierzeń i dążności, spajają ludzi ogniwem moralnem tak silnie, że tego związku ani czas, ani żadne późniejsze wpływy „zniweczyć nie są w stanie," wtedy gdy spójnia cielesna, fizyczna, będąc dziełem trafu, nie zaś wyboru, rozluźnia się niekiedy, a często nawet zaciera się powoli. Dodajmy do tego parę jeszcze poszlak przygodnie w pismach Jordana rozrzuconych: brał pracowity udział w kilku krajowych instytucyach ekonomicznych i finansowych, bywał za granicą i nawet— zna nieco bliżej Paryż (III, 191, 192)...

Oto i cała autobiografia. Nie jest ona zbyt długą; wszakże dla przedmiotu wystarcza najzupełniej, zwłaszcza wobec kilku wskazówek, których nam również sam autor uprzejmie dostarczył co do głównych cech jego temperamentu, skłonności i upodobań literackich. Spory zasób *pobłażliwości* w zapatrywaniu się na stan i rozwój naszych spraw społecznych, szczególnie naszego rolnictwa i związanych z nim widoków na przyszłość, oraz pewien „niefrasobliwy humor" w opowiadaniu mniej więcej obfitych, faktycznych zboczeń od tych widoków, — to byłyby naczelne znamiona charakterystyki Jordana. Do pobłażliwości autor gotów byłby się przyznać, z tem wszelako zastrzeżeniem walnem, że jakkolwiek „na drodze życia złych i przewrotnych ludzi spotkał niewielu," to jednakże nie był bynajmniej „ślepym na wady i ułomności, które nas już i podówczas (to jest przed 20-tu laty) raziły, a były może w części dzisiejszych następstw przyczyną." Nawzajem, co do „niefrasobliwego humoru," ofiarowanego mu niegdyś bezspornie zarówno przez „zbyt łaskawych czytelników," jak i przez „zawsze uprzedzającą krytykę, Jordan radby się prawie od niego odżegnać, a przynajmniej tłomaczy się z przypisywanego mu daru, jak gdyby to był — w okolicznościach obecnych — gatunek grzechu pierworodnego, czy też naleciałości zaraźliwej. Przybrał tę formę głównie dlatego, że „z doświadczenia, niestety, wiedział, iż w lekkiej, żartobliwej szacie utwór skwapliwiej i lepiej się u nas czyta, niż najpiękniejszy traktat, przyobleczony w togę powagi. Powtóre, wolno było trochę się pośmiać i podrwić za tamtych czasów, gdy „rolnictwo nasze rozwijało się pomyślnie," ale dziś!... Dorzućmy od siebie do tych zasadniczych lub tylko przybranych właściwości psychologicznych i społeczno obyczajowych, jeszcze jedną, mieszaną, od tamtych bezpośrednio pochodzącą, wybitną dążność praktyczną, naprawczo-dobrobytniczą, inaczej utylitarną, a będziemy już przed sobą mieli całego umysłowego Jordana.

Należy teraz tylko rozważyć, jak się ta całość różnorodna w pismach ułożyła.

Rzadko się zdarza, aby człowiek wiarogodnie i rzetelnie uzewnętrzniał się w dziełach rąk swoich, choćby one były dziełami wszystkich a wszystkich godzin jego żywotności czujnej, mniej więcej uświadomionej. Różnica na korzyść oryginału, z ujmą odzwierciedlenia, lub naodwrót, waha się od zera do nieskończoności niemal. U artystów i myślicieli dzieło najzwyklej bywa wyższe od twórcy, prawdopodobnie wskutek niedającej się obliczyć interwencyi sił skupionych, działających chwilowo w niezwykłem natężeniu władz duszy. U Jordana wszakże zachodzi pod tym względem dość dziwne złudzenie optyczne Na każdej kartce jego książek czujemy i niekiedy wprost a najdokładniej zdawałoby się widzimy, że dokonana twórczość jego nie dorównywa ani sumie, ani przeważnej części podmiotowych jego uzdolnień. Do obrachunku ostatecznego, na jeneralny, że się tak wyrazimy, apel, pierwiastki te subjektywne, w literę wcielone, stają wprawdzie zawsze w komplecie jak obszył, ale się zjawiają pojedynczo, luźnie, „komunikiem" takim, jak gdyby wracały z rozsypki i rozproszenia. Mógłby więc kto mniemać, że wrażenie dysproporcyi pomiędzy tem, co autor w duchu nosił, zapowiadał i przyrzekał, a tem, co dał rzeczywiście, zmniejsza się i znika w miarę gromadzenia się maruderów i zbiegów; tymczasem — nie: wzrastająca ich ilość powiększa tylko zgiełk i niesforność. Snadź w sztuce dzieje się niekiedy to samo, co i w wojsku, — piękno, na wzór ładu subordynacyi, ustala się dopiero wtedy, gdy ktoś jeden mocno za łeb pochwyci innych. Najgorszą w takich razach usługę oddaje to, od czego w życiu zależy godność i wartość moralna jednostki: refleksya, wiedza, rozum, wysoka dążność społeczna lub humanitarna... W artystycznym ordynku Jordana, właśnie wolnomyślne te przybłędy za często głos zabierają. Stąd pochodzi, że i władza jego przyrodzona, zwierzchnicza — „humor niefrasobliwy" — nie zawsze jest pewną swego przeznaczenia i swej roli, słania się, błąka, ustępuje na plan dalszy, często ma taką minę, jak gdyby była samozwańczą, a prawie wszędzie i do uprzykrzenia podrabia dla siebie w dyalogach dowcip gminny, szablonowy i szeregowy, choć sytuacya komiczna jest najdoborowiej, najarystokratyczniej zarysowana.

Oczywiście — zdarzają się i wyjątki. Wówczas mamy do czynienia z czemś bardzo zbliżonem do arcydzieła, do „ideału," który nie jest wcale odlaniem wszechstronnem największej liczby możliwości, złożonych w jaźni artysty, lecz największem ich zogniskowaniem w kierunku, dla twórcy najdogodniejszym, najmilszym i najbardziej pożądanym. Wyjątków takich nie brak u Jordana. Na pierwszem miejscu postawić wypada prześliczne nowelki „Z boru i ze dworu," — konstelacyę gwiazd pierwszorzędnej wielkości — pomimo, że wszystkie należą do małego, wiejskiego świata. Każda z nich posiada własną swą dążność gatunkową, moralizu-

---

kutej moją ręką. Bo łatwiej artyście stworzyć nawet boga, niż piękną kobietę.

Pirus.

Więc przepraszam cię, już nie karć starego przyjaciela i nie ucz chłopców...

Satar.

W ciebie świat wchodzi przez gębę, a we mnie przez oczy, dlatego...

Pirus.

Dobrze, dobrze, mój drogi, tylko uspokój się.

Satar.

Ach, gdybym ja mógł ją wyrzeźbić!.. A przecież ona w każdej bryle marmuru jest ukryta, trzeba tylko umieć zdjąć osłony!

Pirus.

Słyszałeś, że poławiacze najsmaczniejszych ryb mają być uwolnieni od podatków?

Satar.

Nie zaśmiecaj mi głowy! Co mnie to obchodzi!

Pirus.

Dziś o niczem nie można z tobą rozmawiać, żebyś się nie oburzał... Żegnam cię. Wolę spożyć trochę świeżego powietrza, niż twoje wymysły.

Satar

Poczekaj stary. Przepraszam cię, jestem rzeczywiście dziś tak rozstrojony, jak pradziadowska lira. Widok tej uroczej kobiety rozmarzył mnie do szaleństwa. Gdyby była przynajmniej nie odjechała, możebym wreszcie zdołał przenieść jej rysy w marmur.

Pirus.

Zapewne niezadługo wróci.

Satar.

Cóż z tego, kiedy dusza moja zwiędła w promieniach tego słońca, jak kwiat powoju! Ja to przeczuwałem. Piękno zawsze ożywia mnie, wzmacnia energię, rozbudza siły. Tymczasem ujrzawszy ją, doznałem jakiegoś pognębienia, niemocy. Jej twarz zdaje się mówić: bóg mnie stworzył, a żaden człowiek nie odtworzy; geniusz ludzki przekonawszy się, że mu ręka zdrętwieje bezwładem, gdy zechce mnie powtórzyć, tylko ze czcią i pokorą przede mną uklęknie.

Pirus.

Wprawdzie nie jestem artystą, ale też nie przypuszczałem, że to taki wysoki gatunek urody. Co za wyśmienity prąd powietrza teraz przepłynął! Zauważyłeś?

Satar.

Ty jej dobrze nie widziałeś, bo starość zamgliła ci oczy. Gdybyś miał tak czysto, jakie posiada młodość, rozumiałbyś mój zachwyt.

Pirus.

Może, może... chociaż ja i w młodości zapalałem się trudno, jak mokre drzewo. Wszelkie uniesienie, zachwyt narusza równowagę fizyczną i umysłową, czego się strzegłem, i dlatego mam czerstwą starość.

Satar.

Nigdy ci z serca nie buchał płomień?

Pirus.

Broń boże! Każde mocne uczucie, jak mocny napój, sprowadza niestrawność duszy, a nawet ciała, tak... i ciała.

Satar.

Nie wiem, czy ci zazdrościć, czy też...

Pirus.

Zależy od tego, czy chcesz żyć długo, czy krótko.

Kobus (do Satara).

Słuchaj Pirusa, bo on filozofuje brzuchem.

(D. c. n.).

jącą najzwyklej, i każda błyszczy światłem genezyjnem: humorem, jedno mniej, drugie więcej „frasobliwym,“ jedne weselej, drugie smutniej, ale zawsze najczyściej, niby łza cierpienia, lub łza radości. Jaki materyał w nich się pali — zmysłowy czy zmyślony, geologiczny czy psychologiczny, z lotnej fantazyi, czy z ociężałej skały wydobyty, zapytywać o to nie przychodzi nawet na myśl. Rzeczywistość przemawia z nich w sposób równie wyrazisty, czy są z ciosanego, czy z oderwanego budulca. Jordan swą „Wyprawę po pożyczkę“ opatrzył dopiskiem, że jest humoreską, na „prawdziwem“ zdarzeniu osnutą, zaś „Komedyi w podróży“ wydał świadectwo, że ustęp ten z życia ś. p. chirurga filozofii (Augusta Wilkońskiego) uważać należy za przyczynek do „historyi“ żywota sławnego humorysty; ale byłby ten chyba wynalazcą czwartego wymiaru, ktoby w odznaczonych w podobny sposób zarysach wykrył coś więcej specyficznie prawdziwego i historycznego, niż w innych, niezakwalifikowanych zarysach, w takim np. „Charciarzu,“ w „Układzie o służebności,“ lub w takiej nieporównanej „Bakałarce.“

W kilku obrazach rodzajowych z lat 1882—83 („Listy pana Jordana do pana Jana“), w których „niefrasobliwość“ nie ogląda się zbyt uparcie za pożytkiem moralnym lub naukowym, spotykamy tę samą jeszcze świeżość koncepcyi pierwotnej, tę samą barwność niehamowanego postronnymi względami wykonania. Ale w miarę jak się posuwamy dalej, popularna i tak długo na rękach noszona maniera „Kronik tygodniowych“ Prusa, przeplatająca groch umiejętności kapustą satyry obyczajowej, zaczyna widocznie niepokoić Jordana i sen mu z powiek płoszyć. Do opowiadań, krystalizujących się najzupełniej prawidłowo według właściwości czystego humoru, wpadają coraz częściej grube kawały rozpraw ekonomicznych i społecznych, o oświacie szanującej skarby tradycyjne (III, 155), stagnacyi w handlu zbożowym (165—170), produkcyi węgla krajowego (204), wyścigach (253) itd. Gdyby dydaktyczne te grudy i grudki roztapiały się w gorącym lub chłodnym płynie ironii, na wzór tego, jak kwestya serwitutowa rozpłynęła się w wartkich potokach niewymuszonego dowcipu „Układu o służebności,“ byłoby wszystko w porządku, a w zgodzie z naturą talentu Jordana, ale raz niedogotowane, drugi raz przegotowane, brylowatości owe, jako rozczynione tylko gdzieniegdzie i tylko mechanicznie, tworzą zazwyczaj jedynie jakiś klajster kluskowy, kisielek kwaskowaty czy słodkawy, cokolwiek mniej może niestrawny, niż w wielu razach u Prusa, ale bynajmniej nie smaczniejszy. Dopiero gdy nuda lub pilne i nieodbite interesy gospodarskie nagle przerzucą nas znowu z posiedzenia komitetu osad rolnych w Warszawie, na jarmark w Łowiczu (str. 341), wtedy nareszcie spożyć przynajmniej możemy łyżkę, dwie, uczciwego barszczu polskiego, zabielonego i okraszonego należycie czy to dążnością moralizatorską, czy nauką utylitarną. (D. n.)

J. T. Hodi.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Walne zgromadzenie Tow. naucz. szkół wyższych. — Gimnazyum żeńskie. — Kredyt hypoteczny.

Dnia 2 b. m. odbyło się to jedenaste walne zgromadzenie „Towarzystwa nauczycieli szkół ludowych.“ Zawiązane przed laty dziesięciu, miało ono za cel poprawę wadliwego ustroju szkolnictwa galicyjskiego, dotychczas jednak ograniczało się na przeprowadzaniu zmian małej wagi w rozporządzeniach i planach szkolnych. W programie obrad jedenastego zgromadzenia ujrzeliśmy po raz pierwszy dwa zasadnicze wnioski: pierwszy, dotyczący sprowadzenia rozmiarów nauki szkolnej do tych wymagań, jakie pogodzić można z fizycznym rozwojem młodzieży, drugi — do uregulowania studyów dla kandydatów nauczycielskich. Zdawałoby się, że wadliwość systemu nauki gimnazyalnej i wynikające stąd przeciążenie młodzieży jest faktem tak niezbitym, iż przeczyć mu byłoby wprost niepodobieństwem. Tymczasem okazało się raz jeszcze, że możni dużo mogą — mając bowiem patent na rozum, gadają brednie. Nad wnioskiem p. Krotoskiego (redukcya planu naukowego, obowiązującego w gimnazyach austryackich) rozwija się dyskusya, w której między innymi zabiera głos członek rady szkolnej, Stan. hr. Tarnowski. Jakkolwiek nie uczęszczał nigdy do gimnazyum, mimo to nie wie (hr. Tarnowski wielu rzeczy nie wie!), skądby się przeciążenie młodzieży nauką wziąć mogło dzisiaj, skoro nie było go dawniej. Przypuśćmy, że przybyła teraz gimnastyka i jeszcze jeden jakiś przedmiot, „one jednak przeciążenia sprawić nie mogły.“ Według p. Tarnowskiego, ani planów naukowych okroić, ani liczby godzin wykładowych obciąć nie można; wobec tego wniosek jest zbyteczny, dla przedsięwzięcia bowiem drobnych poprawek wystarczy najzupełniej narada dyrektora z nauczycielami. Na szczęście, w głosowaniu przyjęto wniosek p. Krotoskiego, może więc p. Tarnowski „dowie“ się wkrótce, skąd się wzięło przeciążenie i jak można je usunąć.

W sprawie uregulowania studyów dla kandydatów nauczycielskich postanowiono: 1) teoretycznie kandydat kształci się na uniwersytecie, praktycznie — w szkole; 2) otrzymujący absolutoryum powinien złożyć egzaminy zawodowe, które zdaje rocznie; 3) w skład każdej grupy egzaminacyjnej wchodzi filozofia.

Są to więc w każdym razie wnioski konkretne, których dotychczas nie było. Żałować tylko wypada, że w bolesnej sprawie polepszenia bytu materyalnego nauczycieli zgromadzenie tylko zapomniało, iż nędzą nauczycielską gorąco zajmuje się Wydział — pełen nieustającej łaski i nadziei. Rzecz dziwna, iż taki p. Tarnowski, lubujący się zazwyczaj w zwrotach poetycznych, nie skorzystał ze sposobności, aby przypomnieć zebraniu, iż nim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje...

Ponad to wszystko dowiedzieliśmy się jeszcze, że wydział Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych postanowił wziąć udział w założeniu gimnazyum żeńskiego we Lwowie. Zawdzięczać to będziemy bezimiennej ofiarodawczyni, która przeznaczając na cel ten pokaźną kwotę, zwróciła się do wspomnianego Towarzystwa z żądaniem poczynienia w tej sprawie odpowiednich kroków. Wydział przyjął na siebie obowiązek otworzenia gimnazyum w jak najkrótszym czasie i polecona mu nad niem opiekę. Gimnazyum tedy żeńskie otwarte zostanie prawdopodobnie z początkiem przyszłego roku szkolnego. Ustrój tej szkoły będzie odmienny od gimnazyów męzkich na razie w tem tylko, że zniesioną zostanie dwustopniowość nauki w historyi powszechnej, fizyce i historyi naturalnej, a to ze względu na przygotowanie kandydatek, które winny ukończyć klasę drugą szkół wydziałowych. Wobec tego i liczbę lat trwania nauki obniży się z ośmiu na sześć w ten sposób, że w dwóch najniższych klasach nauczane będą przeważnie języki, łaciński i grecki przedewszystkiem. Po ukończeniu dwu tych klas uczenica powinna posiadać tę wiedzę przygotowawczą, jaką ma uczeń po ukończeniu czterech klas gimnazyalnych. Do czterech klas pozostałych stosuje się program gimnazyów męzkich.

Jest to ogromny krok naprzód i stwierdza dowodnie wypowiadane już na tem miejscu niejednokrotnie przez nas zdanie, że najgłówniejszym hamulcem postępu w Galicyi i najznamienniejszym rysem jej obywateli jest zupełny niemal brak instynktów społecznych w osobnikach, a zatem i w ogóle. To, o co staramy się od tak długiego już czasu, staje dzięki odmiennej od ogółu jednostce — a ileż obok niej żyje innych, które cel ten urzeczywistnić mogły z mniejszym daleko wysiłkiem? Pani X. złożyła pieniądze na gimnazyum przed miesiącem, my zaś dziś jeszcze mówimy o tem, jak o bajce z tysiąca i jednej nocy. Towarzystwo nauczycieli z całą gotowością przyjmuje na siebie obowiązek wzniesienia gimnazyum; gdyby jednak tych pieniędzy prywatnych nie było, gdyby pani X. powzięła myśl wysłania na walne zgromadzenie Towarzystwa petycyi w sprawie gimnazyum; to chociażby petycya ta zaopatrzoną była w nieskończoną ilość podpisów, walne zgromadzenie odpowiedziałoby mniej więcej tak, jak zacnej pamięci wydział filozoficzny wszechnicy krakowskiej i jeszcze zacniejszej pamięci p. Madeyski. Gdyby ofiarodawca jakiś wyznaczył pewną sumę na utrzymywanie kursów uniwersyteckich dla kobiet, p. Madeyski uznałby nagle, że mimo to, iż po majątkach jego przyjaciół słowiki ślicznie śpiewają, kobiety jednak od biedy potrafią wykonywać praktycznie różne uczone zawody. Doświadczenia niczego nas nie nauczyły. Dawno bowiem powinniśmy byli zrozumieć, że po wiedeńskich naszych opiekunach wolno nam się spodziewać jedynie — brudów i że jedynym dla nas sposobem torowania sobie drogi jest wieczne przywoływanie na pamięć starej prawdy o tych błogosławionych rękach, które same sobie służą.

Podjęto u nas ze stanowiska ekonomicznego ważną i ciekawą próbę stowarzyszenia krótkoterminowego kredytu hypotecznego. „Towarzystwo dla kredytu hypotecznego i osobistego w Krakowie“ postanowiło odebrać kapitalistom prywatnym zmonopolizowane przez nich powyższe pole działalności ekonomicznej. Ofiarą tej gospodarki, nie ujętej w żaden rygor publiczny, byli, jak zwykle, dłużnicy, którzy nie mogąc się oprzeć o żadną instytucyę pomocniczą, oddawać się musieli na łaskę i niełaskę handlujących pieniędzmi jednostek. Towarzystwo dla kredytu hypotecznego położy kres takim nadużyciom, umożliwiając dłużnikowi uzyskanie krótkoterminowego kredytu hypotecznego na stopę procentową nie o wiele wyższą od pobieranej przez inne instytucye publiczne z pożyczek amortyzacyjnych. Na czele Towarzystwa tego stoi p. Zygmunt Wilkoszewski.

Ferropar.

Z NIEMIEC.

Berlin, 9 czerwca.

Powieść pani Skram i proces tragiczny w Akwizgranie. — Święto Goethego i mowa Spielhagena.

Rzadko kiedy powieść była więcej na czasie, niż świeżo wydany przekład „Profesora Hieronima“ Amalii Skram. Autorka ta jest pono największą naturalistką Północy skandynawskiej. Zapewnia nas o tem pani Marholm, a że mówi o tem w pracy, z którą czytelnicy nasi zapoznać się będą mieli sposobność blizko i szczegółowo, więc pozostawiam tę kwestyę otwartą. Treść przełożonej obecnie na język niemiecki powieści, nam tu dzisiaj potrzebna, jest następująca: Eliza

Knut jest malarką, której usilna praca, szukanie prawdy i ideału stargały, nerwy doszczętnie. Cierpi na bezsenność, prześladują ją halucynacye. Mąż za zgodą lekarza domowego oddaje ją do zakładu profesora Hieronima. Tu rozpoczynają się dopiero męki duszy kobiecej. Codzienne stosunki z chorymi, ich wrzawa, wrażenie, jakie pozostawiają na niej samobójczynie i umierające, doprowadzają ją do rozpaczy. Przedewszystkiem jednak Hieronim sam ją dręczy. Fizycznie jest jej wstrętnym. Jego zimna, sucha, wyjałowiona z uczuć natura nie jest w stanie zrozumieć „ciepłego, miękiego, tęskniącego serca kobiecego.“ Spływa tylko na krótką chwilę „w obłoku swego majestatu“ na chorych, a jest bardzo złym, jeśli nie napotka u nich uprzejmości, powolności, prawie że skruchy. Posługaczki i dozorczynie mówią jej wciąż, że musi pozyskać sobie względy profesora, a wtedy dobrze jej się dziać będzie. To znaczy, że ona ma oddziaływać na lekarza, nie on na nią. Pociesza się wciąż myślą, że zobaczy męża, usłyszy głos dziecka — profesor jednak zamknął ją szczelnie od świata. Po 25 dniach opuszcza szpital po to atoli, aby zamienić jego rozkosze na inne w innym szpitalu św. Grzegorza. Pisze wtedy list do Hieronima, w którym mu zapowiada, że z chwilą, kiedy zostanie wolną, oskarży go przed światem. Na tem kończy się powieść. Opinia publiczna niemiecka żyła takim aktem przez ubiegłych dni kilkanaście, drżała oburzeniem istotnem, a to nie z powodu opowieści tragicznych, utkanych z przędzy fantastycznej literata, ale z powodu rzeczywistych faktów, które niechaj mówią za siebie same.

Przed kilku dniami ukazała się w Akwizgranie niewielka broszura, w której jaskrawo przedstawione zostały stosunki, panujące w klasztorze Aleksyanów w Mariabergu. Jest to szpital dla chorych umysłowych, w którym prócz kilku lekarzy, do pomocy przybranych, wszystkie czynności lecznicze spełniają braciszkowie klasztorni. Takich zakładów jest dość wiele w krajach i prowincyach z ludnością katolicką: w Belgii, nad Renem, nawet śród ludności protestanckiej, wszędzie, gdzie wpływ duchowieństwa jest silny.

Otóż w tym Mariabergu, śród winnic nadreńskich, dziać się miały rzeczy przedziwne. Autorowie broszury opowiedzieli tutaj dzieje pewnego duchownego angielskiego, którego osadzono w Mariabergu, aby „powrócił do zdrowia.“ Przypadkowo dowiedział się autor o tajemnicach klasztornych i o tem, że ów duchowny jest zupełnie zdrów na umyśle, że go zamknięto tylko, gdyż był niewymownym. Braciszkowie traktują go jak waryata, ale każą mu spełniać wszystkie funkcye pobożne, odprawiać mszę codziennie itd. Chytrze i energicznie udało mu się uwolnić męczennika. Sprawa staje się głośną. Braciszkowie obrzucają go jadem żółci, podejrzeń, nienawiści, przekleństw. Wreszcie napastują go ze wszech stron tak silnie, że uważa za rzecz konieczną opowiedzieć to wszystko, co widział w klasztorze i co się o nim dowiedział. Pisze więc broszurę. Dowiadujemy się z niej, jak „uzdrawiano“ tam chorych *). Czegóż tam nie czyniono dla wygnania „złego ducha!“ Bito chorych kluczami po głowie, rzucano ich o ziemię, tratowano nogami. Było jednak kilka kar specyalnych, które warto zanotować. Zimny prysznic jest rzeczą zwykłą w takich zakładach. Tutaj miał on swój specyalny salon. Nagiemu choremu wiązano ręce i nogi i w takim stanie rzucano do wanny na wznak. Jeden z braciszków podnosił wtedy nogi do góry, tak, aby głowa zupełnie pogrążona była w wodzie. Chory zaczynał się dusić, a kiedy woda go zalewała, wtedy podnoszono go do góry, aby po chwili opuścić na nowo. Chorzy opowiadali, że operacya taka trwała niekiedy pół godziny. Nawet wodę zmieniano w wannie w obawie, że była za ciepła. Kąpani w ten sposób oczywiście chorowali później i już nie na „duszę,“ ale ich skargi obijały się bez echa o grube mury klasztoru. W broszurze było tyle materyału oskarżającego, że prokuratorya osadziła autorów — restauratora, reportera i wydawcę — na ławie oskarżonych. Całych dni dziesięć trwały zeznania świadków, opinie biegłych. Tłumy ludności opasywały przez ten cały czas szerokim pierścieniem gmach sądowy. Powołany jako biegły prof. Finkelnburg, tajny radca, mówi przed sądem: „Wszystkie stwierdzone tutaj fakty napełniły mnie zgrozą i wstrętem.“ Wypadki te rzuciły wiele światła. Pewien nieszczęśliwy proboszcz pisze do generalnego wikarego, prosząc o przeniesienie go do innego zakładu, w Mariaberg bowiem „żyć nie może,“ i otrzymuje lakoniczną odpowiedź: „Wszak żyjesz jeszcze.“ Jeden z biegłych oświadczył, że nie rozumie, jak ci przez braciszków uzdrawiani chorzy rzeczywiście nie waryowali na seryo!

*) *39 Monate bei gesundem Geist als irrsinnig eingekerkert*, v. Mellage.

Dość jednak tych wypisków, które dają zaledwie cieniowy obraz stosunków. Autorowie broszury, zanim ją ogłosili, zwracali się do dostojników kościelnych w Kolonii itd. z prośbą o pomoc; odprawiono ich z niczem. Czyżby i w innych tego rodzaju zakładach dziać się miały dziwy podobne? Już urzędowa „Korespondencya berlińska“ ministra Köllera w czasie procesu zapowiedziała szczegółową rewizyę takich zakładów przez komisyę. Bardzo więc być może, że proces obecny, który się skończył zupełnem uniewinnieniem oskarżonych, będzie miał epilog sądowy, gdzie oskarżonymi będą inni.

Zaczęliśmy list nasz od literatury — skończymy go na niej. Wczoraj odbył się w Weimarze doroczny zjazd towarzystw im. Goethego i jak zwykle ściągnął zewsząd liczne grono wielbicieli, komentatorów i historyków tego księcia Parnasu. Mowę doroczną wygłosił w tym roku Fr. Spielhagen; mówił długo (80 minut) na temat: „Goethe i poezya epiczna.“ Przypuszczam, że treść jej nie zajmie czytelników naszych, więc przytoczę tylko ustęp końcowy, który zawiera pogląd ogólny na współczesną beletrystykę niemiecką, charakterystyczny ze względu na osobę autora. „Jakim jest nasz stosunek do eposu Goethego?“ — pyta autor. Nie idzie on za tymi, którzy twierdzą, że po Goethem nie napisano ani jednej znośnej noweli, ani także za tymi, według których, przeciwnie, sztuka romansopisarstwa jest młodą, jej erę rozpoczynają zwykle dzieła autora takiego poglądu. Spielhagen obiera drogę środkową pomiędzy tymi biegunami. Stwierdza, że otoczenie, które wyprowadzają pisarze w swych powieściach od czasów Goethego, rozszerzyło się nie do poznania. Jedna klasa społeczna za drugą wkraczała do fantazyi autorów. Freytag rozkazał „szukać narodu niemieckiego przy pracy“ — zdaje się, że nie było to już nowem, gdyż i Goethe wprowadził rzemieślnika do powieści. Starzy zanadto kochali słońce i gwiazdy, bujali na wyżynach, przechodzili około zagadnień życia milczący i obojętni. Późniejsze atoli pokolenie postanowiło zajrzeć do duszy biedaka, równie jak do duszy arystokratki. Nie zawsze grzech chodzi w łachmanach, często przebywa w złocie i aksamitach. Spielhagen chce powiedzieć (nie mamy miejsca na przytoczenie nieco rozwlekłych słów jego), że beletrystyka niemiecka postanowiła opisać życie w całej jego rozciągłości — od najwyższych szczytów aż do najgłębszych skrytek życiowych.

Jakże wyszła na tem? — pyta w końcu. „Romans niemiecki — odpowiada — nowela, przewyższają pod względem wartości artystycznej sztukę epiczną obcą (!). Nie mamy Zoli; on i inni francuscy, rosyjscy, skandynawscy matadorowie romansu i noweli są prawie bez wyjątku bardzo pilnymi, pracowitymi, zajmującymi, niekiedy świetnymi pisarzami. Ale ich „dokumenty ludzkie“ to nie utwory sztuki, nie chcą wcale być nimi. Nagrodę pragną otrzymać już w chwili obecnej — pewna, że wraz ze swymi naśladowcami niemieckimi zginą w niepamięci z chwilą, kiedy moda ulegnie zmianie i minie adoracya wszystkiego, co materyalne... Obowiązującą dla pisarza epicznego jest zasada jedna: wszystkie wyprowadzone przez niego osoby muszą działać, same przez się bez jego pomocy; żadnych objaśnień, żadnych abstrakcyj. Goethe był wiernym tej zasadzie, i dlatego świeciło mu słońce Homera. Niechaj i epigonowie jego wierzą w ten kanon, którego nie wymyśliła samowola, ale który zawdzięcza swe istnienie świętej matce — sztuce wiekuistej.“

P. O. R.

WRÓG STUDENTEK.

Areopag nic nie dodał i nie wyssał z palca wszystko, czem Żosię chciał zniechęcić do wyjazdu na uniwersytet, znajduje się prawie dosłownie w pomienionych artykułach, podpisanych inicyałami J. L., a drukowanych może przed trzema tygodniami. Artykuły te mają, w braku innych, tę przynajmniej zaletę, że sam fakt napisania potwierdza ich treść, a przynajmniej jeden jej szczegół: muszą rzeczywiście istnieć plotki, skoro autor mógł zgromadzić ich tak piękną kolekcyę. Można tylko zrobić z tej okazyi trzy uwagi: 1) że sam ma pozór aparatuześrodkowującego, niby akumulatora tych plotek; 2) że nagromadzenie ich nie dowodzi ani zżycia się z kolonią studencką, ani nawet faktycznej powszechności tych plotek, bo równie dobrze mogły one być wypływem znajomości i rozmów z kimś o bujnej imaginacyi, który w ciągu artykułów wcielała się kolejno w różne studentki, przedmioty na pozór długich i głębokich badań. To przypuszczenie bujnej imaginacyi staje się tem prawdopodobniejszem, im mniej prawdopodobieństwa cechuje opowiadane fakty. Tak np. ostateczny pocisk pani Machałkiewiczowej, ów płacz o trupa, zabranego przez rodzinę, musi się wydać wiatrówką każdemu, kto zna stosunki w prosektoryach *). Trzecia wreszcie uwaga, że spada się aż do poziomu pani Machałkiewiczowej, gdy się posłyszane plotki bierze za poważne obserwacye i *dokumenty* życiowe.

Rozumiem bowiem zupełnie, że można było napisać sześć i więcej fejletonów o studentkach paryskich; można było zrobić z nich bardzo ciekawą monografię społeczną, i taki był zapewne początkowy zamiar p. J. L. Niestety jednak, pokusił on się o pospolite w danym wypadku laury satyryka, i to nadało całej jego pracy — bo z pewnością włożył w swe artykuły pewną jej dozę — dźwięk tak fałszywy, że poprostu człowiekowi, poważnie zastanawiającemu się nad tak doniosłą kwestyą społeczną, jak równouprawnienie kobiet, robi się niedobrze.

I to pęknięcie dzwonu znać zarówno na zewnętrznej jego stronie, czyli na faktycznej stronie artykułu, jak na wewnętrznej — na punkcie wyjścia, tendencyi.

Co do faktów, nagromadzone one są bez żadnego ładu, chaotycznie, ustawione z se-

*) Każde ciało leży dwa dni w trupiarni i dopiero po upływie tego czasu, jeśli się po nie nikt nie zgłosi, ulega sekcyi, a później oddawane jest studentom do dysekcyi, „ciepłe“ więc ciało jakiegoś biedaka“ nie mogło być „rzucone na stół prosekcyjny“ — jak to p. J. L. dla barwności sensacyjnej opowieści przedstawia.

bą tak, że często czytelnik musi się zapytywać: czego właściwie autor chce dowieść, czy bohaterstwa kobiet, wyjeżdżających na studya, aby żyć z kilkudziesięciu franków na miesiąc, czy też ich ryczałtowego egoizmu i czczości? Znajdują się między tymi faktami takie, które — jak np. poszukiwania co do przeszłości i społecznej sytuacyi studentek — mogą być bardzo ciekawe (szczególnie gdyby zostały uogólnione i na inne uniwersytety); ale większość — są to anegdotki bez żadnej wartości dla badacza, tem bardziej, że za przykładem przerażającej powieści o okrutnej „kobiecie XX stulecia,“ bardzo wiele należy przyjmować nie już *cum grano*, ale *cum centnaro (!) salis*. Mogę przytoczyć np. t. zw. „pistonowanie,“ czyli protekcyę znajomych profesorów przy egzaminach: spytajcie się każdego studenta francuza, a powie wam, pomimo całej niechęci do cudzoziemców konkurentów, że studenci cudzoziemcy prawie nigdy z „pistonów“ nie korzystają. Tem mniej studentki nasze, może z jakimiś rzadkimi wyjątkami. Czytelnik zrozumie, że nie chcąc go znów wprowadzać w piękną atmosferę „cioć,“ nie będę po kolei powtarzał i redukował do właściwych rozmiarów „obserwacyj“ p. J. L.

Niektóre z nich, wypowiedziane w tonie, jeśli nie zarzutu, to zawodu, wprost rozweselają. Pan J. L. ma np. pretensyę do studentek o to, że wyjechawszy na naukę, wychodzą za mąż. Dlaczego nie ma pretensyi do studentów, którzy się żenią przed ukończeniem uniwersytetu? Jeśli nawet studentka, po wyjściu za mąż, przerywa studya, co nie jest bynajmniej ani powszechne, ani niezbędne, tem bardziej wobec mnóstwa ułatwień, jakiemi wielkie miasto otacza zarówno wychowanie dzieci, jak kłopoty gospodarskie, ułatwień, polegających, mówiąc ogólnie, na uspołecznieniu różnych stron życia codziennego — to czy jednak nie lepiej, że poślubiła młodego i umysłowo pracującego człowieka, niżby miała być wydaną za małomiasteczkową czy cyrkułową powagę? Czy dla studenta nie lepiej, że zamiast gąski, pełnej „wiecznej kobiecości,“ znalazł żonę o horyzontach duchowych szerszych, których dowodem jest sam fakt wyjazdu na studya? Pan J. L. chciałby, zamiast kapłanek ogniska domowego, mieć tylko kapłanki wiedzy. Wiecznie kapłaństwo, nigdy człowieczeństwo! Jakże znać w jego zarzutach, czy zawodzie, ten stan niedojrzałości społecznej, w którym ogół, w zamian za tolerowanie nowych prądów, żąda koniecznie błyskotliwej, choćby czasem szychowej aureoli męczeństwa nad głowami ich przedstawicieli, żąda od nich wyzucia się z normalnych funkcyj ludzkich — zupełnie jak bogacz z bajki ludowej, który pozwalał biedakowi wziąć kawałek chleba, lecz pod warunkiem, że mu wyjmie oko.

Widząc, iż studentki po za tem, że wyrwały się z ciasnoty stosunków domowych i przyjechały do uniwersytetu, są zwykłemi śmiertelniczkami, a więc zarabiają, kochają, lubią czasem na bal koleżeński włożyć, o ile je stać na to, przyzwoitszą suknię „mocno pomarańczowego“ lub innego koloru, a nawet kiedy niekiedy opowiedzieć coś sobie o swoich bliźnich, p. J. L. jest ogromnie niezadowolony i postanawia do reszty zedrzeć w oczach całego społeczeństwa maskę bohaterstwa z tych kobiet, które dotychczas wyobrażano sobie jako coś nadzwyczajnego. Oświadcza to zaraz na wstępie i odtąd nie ma dość ironii i przenikliwości, aby wykazać to, co dla człowieka, uważającego ruch kobiecy za zdrowy, normalny, nie-nadludzki, było z góry do przewidzenia i wydaje się całkiem naturalnem, co w dodatku ani trochę nie może przemawiać logicznie przeciw niemu, bo w zadaniach tego ruchu nie leży zupełnie ani zniesienie miłości, ani reforma toalet, ani nawet (niestety!) przyzwyczajeń języka — i co nie może bynajmniej być brane za podstawę do wyrokowania o tem, czy kobiety mogą dorównać mężczyznom w pracy umysłowej. (Nawiasem mówiąc, gdyby nawet nie mogły dorównać, nie wynikałoby stąd bynajmniej, że do niej nie mają prawa). Ironię tę okrasza czasem pobłażliwym uśmiechem protekcyonalnej wyższości, mówiąc np., że jest wiele melancholii w miłości, zrodzonej nad stołem prosekcyjnym, między dwojgiem biednych studentów itd. itd. (Cytuję z pamięci). Warto tedy przypomnieć wrogowi studentek, że aby strzałą humoru nie zranić dobrej sprawy, trzeba ją obmyć w prawdziwych łzach, jak Dickens, Gogol, Prus; żeby zaś mieć prawo nawet do bezwzględnego wyśmiewania wzniosłych, żywotnych, lecz niezupełnie jeszcze wydoskonalonych dążeń ludzkich, trzeba, jak Heine, zasłużyć na opinię: „że się modlił za ludzi, nim mu pękło serce!“

Bo w całej kwestyi chodzi o to: czy dążenie kobiet do równouprawnienia i wyższego wykształcenia jest sprawą żywotną dla naszego społeczeństwa? Pan J. L. na to pytanie nic nie odpowiada, natomiast robi odkrycie, że kobiety jadą na uniwersytet nie dla żadnych „wyższych“ celów, ale poprostu dla zarobku, dla fachu. Otóż, zdaniem naszem, dwa są źródła, z których u nas ten prąd wypływa. Najpierw, jak wszędzie, rodzina się rozpada, kobieta traci swe miejsce produkcyjne w jej łonie, i albo musi być żoną-pasorzytem (jeśli uda się jej, za pomocą wystawowych środków, opuścić panieńską armię rezerwową), albo też szukać produkcyjnej czynności po za rodziną. Te, które z tych dwóch alternatyw wybierają ostatnią, już tem samem dają dowód energii, poczucia godności osobistej, odwagi, jednem słowem, wyższego od pierwszych poziomu moralnego. Tak więc przez swą konieczność historyczną, jak przez wywoływanie pewnego doboru moralnego, jest ten ruch żywotnym dla społeczeństwa i być nim nie przestaje przez to, że któraś z medyczek, zarabiając 15 czy 20 tysięcy, obraca je na czysto osobiste cele. Powtóre, dążność do wyższego wykształcenia jest tu objawem wstrętu do szarego życia w otaczających młodą pannę warunkach, chęci poznania szerszych horyzontów. Jako taka, jest zjawiskiem niezmiernie cennem, bez względu na praktyczne rezultaty, jakie dawać może, i nikt nie powinien przysparzać jej przeszkód.

Tymczasem to właśnie czyni p. J. L. za pomocą swego artykułu, a to dlatego, że nie wiadomo, za czem się oświadcza. Z dziwnym optymizmem twierdzi on, między innemi, iż studentki nie narażają bynajmniej swym wyjazdem dobrych stosunków z rodziną. Jeśli chce przez to powiedzieć, że rodzina godzi się zwykle z faktem dokonanym, to co do większości ma racyę; ale mogę go zapewnić — zresztą wie to każdy — że przed wyjazdem trzeba zwalczyć gwałtowny nieraz opór rodziny. Nieraz ojciec oświadcza córce, że „po jego trupie“ przejdzie do uniwersytetu. Jaki zaś użytek zrobią — prawdopodobnie zresztą wbrew intencyom autora — oporne rodziny z jego „odkryć“ — to właśnie starałem się na przykładzie przedstawić w pierwszej części niniejszego artykułu.

Zosi, dążącej — choćby na oślep — do ogniska szerszego i wyższego życia, przybyła jedna więcej przeszkoda do zwalczenia, jedno więcej zniechęcenie do opanowania; zadano nowy cios idealnym poglądom, które ją z zaduchu wyrywają. Należało koniecznie przeszkodzić odebrać powagę, zniechęcenie utrudnić, cios zneutralizować, powiedzieć jej, że dążenie, które żywi, jest, bądź co bądź, dobrem i żeby je nadal zachowała!

To właśnie, choć w części, chce osiągnąć niniejszy artykuł; drukując go, do tego przyczyni się redakcya.

K. Radosławski.

LIBERUM VETO.

Grający naród. — Kategorye życia naszego: wint, wyścigi, totalizator, gra w dorożki, w pończochy, w posłańców, cyklistów itd. — Projekt ocalenia sławy dla swojskich faworytów. — Trudność w zastosowaniu go. — Wyścig dystansowy i 30 trupów końskich. — Wyniki tej próby. — Gra w akcye i dzwony alarmowe. — A my dalej grać będziemy.

Stało się kwestyą wielce wątpliwą, czy my obecnie po za mechanicznem spełnianiem czynności obowiązkowych jeszcze zajmujemy się czemkolwiek innem, prócz grą. Bo proszę zważyć: obywatele ziemscy, przemysłowcy, kupcy, urzędnicy, lekarze, adwokaci, uczeni, poeci, oraz ich żony, a częściowo także posłańcy publiczni, dorożkarze itd. od lat kilkunastu grają zawzięcie w winta. To najpowszechniejsze źródło rozkoszy jest tak namiętnie wyczerpywane, że gdy się zejdzie sześciu mężczyzn, a brak im potrzebnych sprzętów, dwaj gotowi są zgiąć się w połowie na siebie i utworzyć stolik o czterech nogach i blacie z pleców, ażeby czterej pozostali mieli na czem zagrać „robra.“ Jeżeli podziwiamy mądrość i celowość natury, to przedewszystkiem dlatego, że murawie nadała kolor... zielony. Opowiadano mi, że gronko warszawiaków, odwiedziwszy na wsi znajomego, który nie posiadał kart, użyło do winta odpowiednio poznaczonych fotografij z paru albumików Grotgera. Czuli mężowie i ojcowie, tęskniący za rodzinami i świeżem powietrzem a zmuszeni pracować w Warszawie, wyrywają się z niej każdego święta do swych żon i dzieci na letnich mieszkaniach, o ile biedacy mają tam zapewniony „komplecik,“ który im pozwoli całe dni i noce używać przyjemności z „przykupką,“ „gwoździem,“ „rynsztokiem“ (za ścisłość nomenklatury nie ręczę). Widziałem tych męczenników ziewających, niewyspanych, przeklinających konieczność powrotu i kończących w wagonie przerwaną partyę. Szyk, moda, a nawet filozofia wymaga, ażeby przez różowe usteczka pięknych dam przechodziły takie aforyzmy: „Ach, panie, czy cokolwiek na świecie może się porównać z boskim wintem!“ — albo: „To mój kochanek, dla którego zapominam o wszystkiem!“ Więc gramy: starzy, młodzi, dzieci, mężczyźni, kobiety. Zdaje się, iż niemowlę po urodzeniu płacze dlatego, że ojciec, matka i doktor nie zasiadają z niem do winta, i że gdyby mu pokazać cztery asy, uspokoiłoby się natychmiast.

Ale do gry nie służą jedynie karty. Można grać we wszystko: w nogi końskie lub ludzkie, w rowery, łodzie, akcye — żadnego ograniczenia tu nie ma. Spotyka się na ulicy dwu znajomych, oddają sobie ukłony i już kilka kroków odeszli, gdy nagle zatrzymuje obu błyskawiczna myśl. — „Panie... — Służę. — Ma pan chwilkę czasu?.. — Niewielką... — Możebyśmy zagrali w parzyste i nieparzyste numery dorożek? — Najchętniej.“ I grają — godzinę, dwie, dopóki pieniądze nie przesypią się z jednej kieszeni do drugiej. Do tego samego celu służą numery posłańców publicznych, kolory pończoch kobiecych (ta gra odbywa się podczas deszczu), laski i parasole, kamasze ciemne i żółte — cokolwiek. Spacerujący po ulicach, niezajęci subjekci w sklepach i wyglądający przez okno felczerzy, odsiadujące synekur w biurach — wszyscy zamieniają przesuwający się przed ich oczyma świat istot żywych i martwych na talie kart.

Naturalnie wszelkie wyścigi są także grą, a mamy ich obecnie więcej, niż starożytni grecy przez cały czas swego istnienia. Ścigamy się na łodziach, rowerach, koniach, pieszo, pływając, na torach, drogach publicznych, na odległościach krót-

kich i długich, sami z sobą, z innemi narodowościami, a te gonitwy są tak powszechne i ciągłe, że patrząc na latające po ulicach Warszawy tłumy, sądzić można, iż one są uczestnikami olbrzymiego rekordu czy biegu dystansowego, a przynajmniej „trainingu." Już teraz, mijając moich znajomych, nie zaczepiam ich, bo obawiam się, czy im czasem nie przeszkodzę w jakimś wyścigu.

Jak już wiadomo, w najdalszych zakątkach cywilizowanej ziemi, gonitwa na rowerach między Kaliszem a Warszawą skończyła się porażką naszych „faworytów" a zwycięztwem niemców, którym zapłaciliśmy za wytrwałość i dobre nogi przeszło 2,000 rs. Mniejsza o tę stratę, za którą możnaby utrzymać w przytułku 20 biednych matek lub wysłać na świeże powietrze setkę ubogich dzieci, gdyż nasze towarzystwa sportowe, wydając corocznie tysiące rubli na zabawy, nie poczuły się ani razu do zaofiarowania kopiejki ubogim. Ale ponieważ my gramy również w cyklistów i wolelibyśmy wygrywać na tuzach swojskich — patryotyczny ten gust jest zrozumiałym — więc trzeba zapobiedz, ażeby obce nogi nie zabierały nam sławy i stawek. A jakże przeciw temu się zabezpieczyć? Najprostszym sposobem: zamknąć pole walki dla współzawodników groźnych. Ktoś tedy w *Kuryerze warsz.* dowodzi bardzo zasadnie, że należałoby „nie dopuszczać osób takich, które ze sportu zrobiły sobie rzemiosło, oraz takich, co wyścig zamieniają na reklamę dla fabryki roweru, na którym jadą." Jestem zachwycony tym projektem, ale przez miłość i życzliwość dla niego pragnąłbym go w zastosowaniu praktycznem ustrzedz od kłopotów. Mianowicie wszystkie fabryki rowerów istnieją za granicą, niektóre zaś mają u nas swoich przedstawicieli i sprzedawców, którzy ze „sportu zrobili sobie rzemiosło" i „każdy wyścig zamieniają na reklamę" dla swej firmy, jak o tem przekonywały ogłoszenia w pismach po każdym tryumfie. Prawie wszyscy nasi „mistrzo jazdy" na Królestwo lub Dynasy, są agentami handlowymi fabryk niemieckich lub angielskich; jakże więc wyrazić formułę wyścigu, ażeby zeń i ich nie wyłączyła? Nie dość tego: Przypuśćmy, że nasz „mistrz" rozsławi markę „Enfielda," a niemiec „Brenabora"; co społeczeństwo na tem zyska, że mu ktoś narzuci pierwszą, a nie drugą? Może szanowny autor projektu ma jakieś informacye i wie, że p. Enfield (znowu nie jestem pewien, czy to osoba, czy rzecz) jest znanym gentlemanem, którego wyroby należy popierać, p. Brenabor zaś urwisem, nie zasługującym na nasze względy. Ale dla nas, dla ogółu, jeden wart drugiego. Powtarzam, myśl zachowania chleba wyścigowego dla swoich olśniewa mnie, tylko nie rozumiem, jak ją w czyn wprowadzić wobec zasady niedopuszczania do turnieju cyklistów zawodowych i agentów fabryk zagranicznych.

Jeszcze wspanialszy i bardziej budujący widok przedstawiał wyścig stuwiorstowy na koniach (przez sześć godzin totalizator miotał się w konwulsyach). Z 41 bowiem koni, które przy 30 stopniach ciepła pognano do zapasów, trzydzieści padło lub dogorywa, a trzy wróciły w względnem zdrowiu. Był to turniej w wyższym, szlachetnym stylu, przytem nader pouczający. Naprzód bowiem wykazał on, że 25—30,000 rs. (tyle mniej więcej wynosi cena straconych koni) jest drobnostką, którą tutejsi gentlemani poświęcą bez skrupułu dla przekonania, że koń ma mniej sił od lokomotywy. Powtóre obalony został raz na zawsze dziecinny przesąd, że daleko więcej koni stosunkowo paść może podczas bitwy od kul armatnich, niż podczas przejażdżki z Warszawy do Góry Kalwaryi. Potrzecie, stwierdzono niezbicie fakt, że jeżeli cyklista nie może utrzymać się w wyścigu, przerywa go, schodzi z roweru i przyjeżdża wozem lub koleją do domu; tymczasem koń zmęczony i wyczerpany biegnie, bo musi, dopóty, dopóki nie zdechnie. Poczwarte ustalono różnicę między winą furmana, który za przeciążenie konia idzie do kozy, a nieuwagą gentlemana, który za zamęczenie konia w wyścigu traci tylko prawo do nagrody. Wprawdzie Towarzystwo opieki nad zwierzętami teoretycznie nie uznaje tej różnicy, ale wobec doniosłości i ścisłości wyniku próby, chyba zrzeknie się wszelkiej pretensyi i nie założy protestu.

Byłoby to bardzo dziwnem, gdybyśmy zachęceni tak znakomitem doświadczeniem, nie zbogacili naszej wiedzy innemi, zwłaszcza że moglibyśmy urządzić je sobie znacznie taniej. Tak np. gdybyśmy ogłosili następujące konkursy (z totalizatorem):

1) Kto najdłużej wytrzyma bez syknięcia leżenie w łóżku wysłanem pokrzywami?

2) Kto największą ilość razy przeskoczy w trykotach, napojonych benzyną, przez ognisko płonących gałęzi sosnowych?

4) Kto postawiwszy sobie wezykatoryę na podeszwach rano, przetańczy „białego mazura" następnej nocy?

4) Kto dwa obce, przelatujące psy zwiąże ogonami, zanim się miną?

I tak dalej. Turnieje te nie kosztowałyby ani pieniędzy, ani życia ludzi i zwierząt, a totalizator mógłby przy nich działać z tą samą namiętnością i korzyścią dla przedsiębiorców, co przy handicupach, oaksach i hurdle-race'ach. Więc co prędzej stwórzmy sobie nową sposobność do gry!

Jak nie posądzamy wielu naszych znajomych o to, że oni tłoczą się walecznie do okienek totalizatora podczas wyścigów konnych, tak nie posądzamy ich również, że w rozmaitych zaułkach spekulacyi grają w akcye. Wogóle niewtajemniczeni tego hazardu nie widzą, nie rzuca on się w oczy odrazu, a jednakże, według zapewnienia znawców, w łonie naszego społeczeństwa szaleje zapamiętała orgia ażiotażu. Zasługa odkrycia jej i wyjaśnienia należy się *Gazecie losowań*, która oddawna dzwoni na trwogę. Za sznur alarmowy uchwycił następnie Obserwator w *Kuryerze codziennym*, który przed paru dniami znowu powołuje do ratunku przeciw niebezpieczeństwu. Według niego w coraz szerszych kołach t. z. kulisy giełdowej „dokonywa się zawodowo najniebezpieczniejsza szulerka, odrywająca od normalnej i produkcyjnej pracy setki ludzi, którzy rzucają się w wir spekulacyi. Ludzie ci, rekrutujący się z różnych sfer, ale przeważnie z niższych i najniższych warstw handlowych, od rana do późnej nocy — wszędzie: na giełdzie, na ulicy, w kawiarniach, w ogrodzie Saskim, uskuteczniają pseudo-obroty, ściśle zaś machinacye, któremi podbijają kursa akcyj, obranych za narzędzie szulerki. Na czele tego ruchu stoją możni dziś już prowodyrowie spekulacyi (wczorajsi wekslarze), którzy są niejako patronami tej giełdziarskiej rozpusty." Przykład: „Akcye Towarzystwa Lilpop, Rau i Loewenstein stały w końcu 1893 r. 425, w końcu 1894 — 1,060, a w ostatni poniedziałek płacono za nie około 2,000 rs.; podniosły się tedy w ciągu niespełna półtora roku o przeszło 1,500 rs. na sztuce. Wiedzieć zaś należy, że są to akcye Towarzystwa, które żadnej dywidendy nie daje, które świeżo dopiero pokryło pół miliona straty kapitału akcyjnego, które ma jeszcze długu przeszło $\frac{1}{4}$ miliona rubli, które przez szereg lat nic nie wyznaczało na fundusz amortyzacyi swego inwentarza i które samo przyznaje, że w r. b. zarabia mniej, niż w poprzednim." *Gazeta losowań* głosem Kasandry wróży nawet bliski „krach." Jej zdaniem, „przesilenie jest konieczne, wisi w powietrzu," nie ludzi się jednak, ażeby „perswazye coś wskórały." Podzielając jej pesymizm, nie przyczepiam do tej sprawy żadnego morału. Pomimo wszelkich ostrzeżeń, tłomaczeń, nagan i tym podobnego grochu, rzucanego na ścianę, dalej grać będziemy — w nogi ludzkie i zwierzęce, w numery dorożek i akcye aż do ruiny, aż do ostatniej kopiejki, bo całe nasze życie jest hazardem, przegrywaniem i odgrywaniem się, szukaniem szczęścia pod kołem Fortuny, która nas niem rozgniata.

Dziwny to naród! A jednak zdolny, wielu siłami od natury uposażony i godzien lepszego losu, niż według wskazówki Bismarcka wędrować ciągle do Monaco!

Poseł Prawdy.

W DALI.

Łódź. Po długotrwałej suszy, deszcz zaczął nawiedzać co drugi dzień okolice Łodzi i dopomógł do wzrostu buraków. Do rzędu większych w okolicy należy plantacya buraków w Rudzie Pabianickiej p. Jakóba Löwenberga. W r. b. wysadzono tam 30 korcy nasienia buraczanego, sprowadzonego z za granicy od znanej firmy Strandesa, a nadto na próbę kilka korcy nasienia produkcyi krajowej, p. Kurnatowskiego. P. Löwenberg jest zarazem właścicielem wzorowo urządzonej cukrowni, od trzydziestu lat istniejącej w Rudzie. Plantacya prowadzona jest w Rudzie systemem najbardziej postępowym; w r. b. właściciel sprowadził przeszło za 1,000 rs. superfosfatu i saletry chilijskiej. — W Rudzie przez letnie miesiące przebywa kilkadziesiąt ubogich dzieci, którym p. Löwenberg daje pomieszczenie i mleko. Właśnie pierwsza partya ubogich dzieci z Warszawy niedawno tam przybyła. — Cena ziemi w okolicy, dzięki zwiększającemu się wciąż ruchowi fabrycznemu, pomiędzy Łodzią a Pabianicami wzrasta. Właśnie jeden z przemysłowców zamierza nabyć pod fabrykę około włóki gruntu od p. Löwenberga w Rudzie i ofiaruje 10,000 rub. za włókę; bliżej Łodzi cena ziemi jest dwa razy większa. — Handel zbożem znacznie się ożywił. Szczególnie poszukiwane są żyto i pszenica, ale zapasy ich są prawie żadne. Przed kilku dniami okazał się taki brak pszenicy, że właściciel młyna amerykańskiego w Rokicin był zmuszony udać się po pszenicę do gub. podolskiej.

Dąbrowa Górnicza. Powierzchnia kopalni „Paryż" przybiera z dniem każdym okazalsze kształty. Na gruzach wzniesiono już obszerny gmach, w którym będą pomieszczone warsztaty mechaniczne. Tymczasowa sortownia przy szybie „Paryż," machiny wydobywające, kotły, budynki nadszybowe i kotłownia, są już odrestaurowane; słowem na powierzchni przygotowano wszystko, czego potrzeba do wydobywania i odbierania węgla. Wnętrze kopalni wszakże pozostawia wiele do życzenia. Od kilku tygodni osuszają kopalnię, która, jeżeli obecne warunki się nie zmienią, dopiero za 6 — 8 miesięcy będzie mogła zacząć eksploatacyę.

Radom. Kasa pożyczkowa przemysłowców radomskich liczyła z końcem r. z. 2,636 uczestników, których wkłady wynosiły 108,911 rs., kapitał na lokacyi 545,538 rs., wysokość udzielonych pożyczek 657,114 rs., kapitał rezerwowy 39,473 rs. Obrót gotowizny w ostatnim roku wynosił 2,078,665. Uczestników przybyło 404. Pożyczek wydano 1,860 na rs. 692,402, zabezpieczonych wekslami i papierami procentowymi. Najmniejsza pożyczka była rs. 6, największa na rs. 5,000. Kapitałów na lokacyę przyjęto rs. 393,368. Wpływy dały 45,253 rs., wydatkowano 42,888, więc czystego zysku osiągnięto 2,365 rs. Dywidenda (9 proc.) za r. z. od wkładów wynosi 8,721, oprócz niepodniesionej z lat dawnych w sumie 1,805 r. Nadto w bilansie figuruje dodatek do pensyi pracującym rs. 718, komisyi rewizyjnej rs. 180 i na cele dobroczynne rs. 300. — Rada Tow. straży ogniowej ochotniczej wybrała z pomiędzy siebie prezesa na r. b. — d-ra Ludwika Żerańskiego. — Służba zdrowia na kolei Dąbrowskiej będzie powiększona o dwa posterunki lekarskie. — Ceny drzewa w pow. radomskim idą ciągle w górę z po-

wodu zmniejszania się przestrzeni leśnych. Wywołało to potrzebę zastąpienia drogiego materyału opałowego tańszem paliwem. W pow. radomskim istnieją znaczne pokłady torfu, przystąpiono więc do ich eksploatacyi. Inicyatywę w tym kierunku dał właściciel majątku Rożki. Używał on naprzód torfu, jako paliwa, na potrzeby dworu, następnie zaś rozpowszechnił go wśród włościan. Obecnie nowy ten materyał opałowy zaczyna coraz bardziej wchodzić w użycie. — Zamknięta w d. 1 b. m. radomska tania kuchnia z herbaciarnią, była czynną w ostatnim sezonie zimowym przez 208 dni; rozdano ubogim 3,440 porcyj zupy i 1,298 herbaty, razem 4,738 porcyj, w tem za biletami płatnymi 3,779 porcyj, resztę zaś bezpłatnie. Dochód z marek obiadowych przyniósł 121 rs., wydatki uczyniły 176 rs.

Brześć. Władze udzieliły pozwolenia na sprzedaż pogorzelcom Brześcia cegły z cegielni rządowej, oraz drzewa budowlanego z czterech pobliskich lasów rządowych po cenach o połowę niższych od obecnie w Brześciu istniejących. Zdecydowano również udzielenie pożyczki rządowej w sumie rs. 200,000. Rada miejska pożyczek udzielać będzie wyłącznie właścicielom spalonych domów i tylko do wysokości rs. 500. Kuchnię przy kościele zwinięto, z uwagi, iż jest już możność zarobkowania. Utrzymano tylko bezpłatną herbaciarnię. Kuchnie bezpłatne dla żydów zamieniono na tanie, w których obiad kosztuje kop. 3. Stan sanitarny miasta pomyślny. — Pogorzel Brześcia Litewskiego pod względem ilości spalonych domów, ludzi i dobytku góruje na innymi pożarami; tem sroższą jest ta klęska, że Brześć nie może, jak inne spalone miasta, odbudować się z zachowaniem warunków przeciwpożarnych. Jako leżący w promieniu fortecy, nie może budować domów murowanych, drewnianych zaś w takiem natłoczeniu i ciasnocie, jak uprzednio, nie pozwala budować ostrożność. Znaczna część zatem posesyj dawniejszych wcale odbudowaną nie będzie i kilka tysięcy ludności musi szukać nowej siedziby. Ułatwiając to, rząd udzielił pogorzelcom bezpłatnej jazdy kolejami do dnia 22 maja st. st., pozwalając wnosić do wagonu po 2 pudy bagażu na osobę bezpłatnie.

Wilno. Bank handlowy wileński i oddział Banku państwa w Dźwińsku wydają rzemieślnikom małe pożyczki na dogodnych warunkach.— Magistrat przeznaczył 300 rubli na pogorzelców Ejszyszek w pow. lidzkim, gdzie spłonęło około 500 domów, a przeszło 2,000 ludzi pozostało bez dachu. — W oddziale tulskiego banku ziemskiego sprzedano ładny majątek Merecz-Wilkiszki w pow. wileńskim, ostatnio własność p. Zielonki. — Przed dwoma tygodniami przelatywała nad miastem ciemna chmura szarańczy w kierunku południowo - wschodnim. — Rada miejska uchwaliła powierzyć próbne badania gruntu, w celu zaopatrywania Wilna w wodę, prof. Wojsławowi. — Dnia 9-go b. m. zmarł w Wilnie biskup tamecznej dyecezyi ks. Antoni Awdziewicz; stanowisko biskupa wileńskiego zajmował od półszósta roku. — Świeżo powstała tu bardzo pożądana instytucya: są to jasełka, gdzie dzieci ubogich kobiet znajdują opiekę, gdy matki zajęte są pracą za domem. Zasługa należy się wileńskiemu Towarzystwu dobroczynności. — W pobliżu miasteczka Wilejki znajduje się kawał lasu, obejmujący 50 dziesięcin ziemi. Komitet ochrony leśnej uznał ten las za nienaruszalny, a to z tego powodu, iż rzekę Wilię broni od lotnych piasków, które w razie wycięcia lasu mogłyby zupełnie ją zamulić, a właśnie w tem miejscu zaczyna być spławną. Również las ten ochrania od ruchomych piasków trakt pocztowy i zabudowania, znajdujące się w pobliżu.

Petersburg. Dnia 13 maja r. b. odbyło się doroczne zgromadzenie Towarzystwa dobroczynności w Petersburgu, pod przewodnictwem znanego filantropa, senatora Gartkiewicza. Posiedzenie rozpoczęto czytaniem sprawozdania za rok ubiegły, które zwraca uwagę na zwiększającą się cyfrę dochodu, w stosunku do lat poprzednich. W r. 1894 wpłynęło 33,951 rs. 81 kop., rozchód zaś wynosił 30,541 rs. 61 kop. Niektórzy czynniejsi członkowie Towarzystwa pomnożyli zasoby tej użytecznej instytucyi. Dzięki temu, może ona nietylko obdarzać ubogich środkami do życia, zaopatrywać ich w odzież, lecz nawet wznosić gmachy, gdzie dziatki w sierocej doli mają schronienie od pocisków losu, a ucząc się, uczciwie i samoistnie zdobywać kawałek chleba; znajduje tam przytułek niejeden, dożywający na schyłku wieku ostatnich chwil tułaczki życia. Po wysłuchaniu sprawozdania wraz z wnioskami komisyi rewizyjnej, zgromadzenie przystąpiło do wyboru członków zarządu, na miejsce występujących: pp. br. Zeddelera, J. Czopowskiego i J. Knolla, tudzież 3 kandydatów na członków komisyi rewizyjnej na 1895 rok. Z głosowania wyszli pp.: senator K. Gartkiewicz, F. Kukel i adw. Abramowicz, jako kandydaci: L. Czechowicz, S. Pokłewski-Koziełł i adw. przys. Niedźwiedzki, oraz członkowie komisyi: adw. Czopowski, adw. Adamski i p. Fr. Szmigielski. Na wniosek jednego z energiczniejszych członków Towarzystwa, p. Jana Kościuszko-Wałużynicza, inicyatora wydawnictwa *Charitas*, które zwiększyło zasoby instytucyi o 3,000 rs., ma być wydany kalendarz na rok 1896 w tymże celu. — Według najnowszych obliczeń, Petersburg liczy 974,649 mieszkańców, w tej liczbie 518,700 mężczyzn. — Wystawa drukarska mieści okazy z 50-u miejscowości w państwie. Najwięcej dostarczył sam Petersburg; po nim idzie Warszawa — 56 okazów; między innemi miastami, Kijów nadesłał 9, Wilno 7, Kowno 1 itd. Z za granicy nadesłano okazy z 19 miejscowości. Wiedeń dostarczył najwięcej. Najobficiej jest reprezentowany dział księgarsko-wydawniczy; dział reprodukcyi mechanicznej zawiera tylko 40 proc. ogólnej ilości okazów. Właściciele drukarni w Helsingforsie, pragnąc zapoznać swych pracowników z postępami sztuki drukarskiej, wynajęli dla nich statek i wyprawili do Petersburga na wystawę drukarską, dawszy im nadto zapomogi na drogę.

Z Tiumenia otrzymuje *Warsz. Dniewnik* list, podpisany przez dwóch obywateli, a ostrzegający mieszkańców naszego kraju przed oszustwem. „Mianowicie niejaki W. O. Fedon rozsyła po całem Królestwie Polskiem i po kraju Południowo-Zachodnim listy, pisane po polsku, do polaków i katolików, w których to listach opowiada, że został zesłany za udział w powstaniu polskiem w r. 1863 i że obecnie na mocy ostatniego manifestu z d. 14 listopada 1894 r. wolno mu powrócić do ojczyzny; indywiduum to, odwołując się do patryotycznych uczuć polskich, prosi o pomoc materyalną, jako dla człowieka, który cierpiał za ojczyznę i który przebywał na Syberyi z rodziną lat z górą 30. Ojczyzną swą mieni ten aferzysta zazwyczaj miasteczko, miasto, powiat, gubernię lub kraj, będące miejscem stałego zamieszkania osoby, pod której adresem wysyła list z prośbą o zasiłek. Pragnąc ostrzedz przed wyzyskiem dobrych ludzi, korespondenci oznajmiają, że ów rzekomy uczestnik powstania zesłany został na Syberyę za kradzież, spełnioną w r. 1893, z miejscem pobytu w mieście Jałutorowsku w gub. tobolskiej. Po sprawdzeniu przez redakcyę nadesłanej wiadomości okazało się, że istotnie na zasadzie wyroku sądu okręgowego warszawskiego w dniu 5 marca 1893 r. W. O. Fedon, liczący lat 21, za kradzież pozbawiony został wszelkich praw i przywilejów i skazany na zamieszkanie w gub. tobolskiej.“

SPRAWY EKONOMICZNE

WYSTAWA WYROBÓW METALOWYCH.

(Kilka uwag profana).

Wystawa ta cieszy się powodzeniem u nas niebywałem. „Przeszło ono wszelkie oczekiwania“ — powiadają reporterzy. Istotnie, wystawa nie może uskarżać się na brak zajęcia ze strony publiczności. Do obecnej chwili zwiedziło ją około 30 tysięcy osób. Bywają dni, kiedy po parę tysięcy widzów ją ogląda, i to właśnie w okresie, gdy Warszawa jest już wyludnioną z owych pracujących próżniaków, którzy dostarczają zawsze głównego zastępu na wszystkie takie uroczystości. Z liczby tej około 10% przypadło na robotników z różnych zakładów. Całemi fabrykami przybywają oni na wystawę, prowadzeni przez pryncypałów, a niekiedy można spostrzedz gromady, złożone z kilkudziesięciu i nawet paruset osób. Zdaje się, iż są to goście, opuszczający wystawę z istotnym pożytkiem, bo zdołali coś ocenić, czemuś się przyjrzeć i czegoś wreszcie się nauczyć. Dodajmy jeszcze specyalistów i przedsiębiorców bardzo nielicznych, którzy wiedzieli, po co udają się na wystawę, a otrzymamy ten zastęp, który z niej wyniósł istotną korzyść. Ogromna zaś reszta, przepływająca przez przekształcony cyrk, składa się z tłumu profanów, do których i ja należę.

Byłem na wystawie razy parę, zatrzymywałem się w każdym pawiloniku, gdzie zdołałem, rozpytywałem się o szczegóły. Naturalnie, nie mogę oceniać rzeczy, na których się nie znam — uczynią to powołani specyaliści. Natomiast podniosę inne pytanie, mianowicie, co mi dała wystawa, o ile ją możemy uważać za informatorkę w produkcyi tego olbrzymiego działu przemysłu, jaki objęła — bo do wyrobów z metalu można zaliczyć najrozmaitsze rzeczy: zegary ścienne i maszyny, wyroby ślusarskie i odlewy, produkty kunsztu nożowniczego i hut metalurgicznych, welocypedy i wagi, nawet rytownictwo na stali. Powtóre, nasuwa się inna kwestya: czy wystawa ułatwiła odszukanie odpowiednich zakładów w razie potrzeby i utrwaliła w pamięci widzów nazwiska firm tak, jak one by tego pragnęły?

Mojem zdaniem, z jednego i drugiego zadania wywiązała się niedostatecznie.

Przekonałem się, że umiemy wyrabiać rzeczy gustowne: drzwi żelazne, wyroby naśladujące średniowieczczyznę i inne przedmioty, odznaczające się niekiedy artystyczną wykwintnością (firm popisujących się nie wymieniam, bo nie znając się na rzeczy, nie chcę ufać swoim wrażeniom). Zresztą i specyaliści odzywają się z uznaniem o niektórych wyrobach. Ale zdaje mi się, że za wiele tam wytwórczości, za mało zaś uwzględnienia codziennych potrzeb zwykłego spożywcy. Wystawa pracy kobiet była niegdyś przeważnie pokazem haftów i koronek; obecna z konieczności nie może być takim popisem elegancyi, bo maszyny, próby surowców i in. produkty do tego się nie nadają, wszakże gdzie tylko znalazła się odpowiednia szparka, tam natychmiast można dostrzedz dążność do takiego połysku i przekładania przedmiotów zbytku nad rzeczy pospolitego użytku. Z dziwną przytem wstydliwością uniknięto położenia cen na produktach. Widziałem sporo wystaw, ale pomiędzy niemi znalazłem niewiele tak powściągliwych. Kartka z ceną należy tu do wyjątków. Niekiedy nawet nie można zdobyć odpowiedzi na zadane w tej mierze pytanie. Mówię naturalnie o oddziale, obliczonym na popis. Widocznie takich rzeczy nie sprzedają, albo sprzedają niewiele. Natomiast spotykamy pewne luki w sferze innych wyrobów. Spostrzegliśmy np. bardzo niewielką tylko liczbę sprzętów rolniczych, tak iż napewno możemy twierdzić, że gałąź ta nie wystąpiła w całej swojej okazałości. Szkoda także, że zarząd wystawy nie wprowadził zwyczaju, stosowanego za granicą, gdzie każdy zakład, okazujący swoje wyroby, podaje szczegóły, dotyczące swoich rozmiarów i historyi, a zatem czas istnienia, liczbę robotników, którym daje zatrudnienie itd. Statystyka taka zwłaszcza byłaby pożyteczną u nas, którzy prawie nic nie wiemy dokładnego o miejscowym przemyśle. Tylko przypadkowo dowiadujemy się takich ciekawych rzeczy, iż istnieje w naszym kraju od r. 1891 fabryka budzików i zegarów ściennych, produkująca

rocznie do 50 tysięcy okazów. Jeden z przedsiębierców na rozdawanej reklamie poszedł za wzorami zagranicznymi: fabrykę założył w r. 1881, zatrudniała ona wtedy dwóch robotników, tymczasem obecnie daje pracę blizko trzem setkom.

Spojrzmy teraz z innej strony. Jesteś zwykłym śmiertelnikiem, który może kiedyś zapotrzebuje nożów, łóżka żelaznego, jakiegoś odlewu. Otóż jakich środków użyli wystawcy, ażeby w pamięci naszej wyrazić swoje nazwiska? Stajemy tu na gruncie ich interesu. Za granicą biorą się na różne sposoby, azeby tylko dopiąć takiego celu: wsuwają drobiazgowe cenniki, ofiarują kalendarzyki z ogłoszeniami danej firmy, wtykają pamiętniki, warte parę groszy, niekiedy darmo dają bilety na jakiś przedmiot, który będzie wylosowany przy zamknięciu wystawy. Daremnie poszukiwalibyśmy tego arsenału środków reklamy, niezawsze nawet możemy otrzymać zwykłe cenniki. Niektóre firmy, i to właśnie produkujące przedmioty najcodzienniejszego użytku, poprzestały na położeniu przed swoją witryną prostych not rachunkowych! Cenniki i katalogi znaleźliśmy jedynie u zakładów, które już miały sposobność zetknąć się z popisami zagranicznymi i zrozumiały pożytek z użycia takich środków.

Opuściliśmy więc wystawę z przeświadczeniem, że dopiero terminujemy w umiejętności urządzania takich jarmarków. Podobno przeszło dwóchset przedsiębierców wzięło udział w wystawie. Prawdopodobnie spodziewają się oni odnieść z tego jakąś korzyść i odzyskać wyłożone koszta. Jak widzieliśmy jednak, do spełnienia tej nadziei wzięli się niewprawnie.

Waluta złota. Ogłoszono Najwyżej zatwierdzoną opinię Rady państwa, z mocy której przy tranzakcyach na walutę złotą opłata uskutecznia się według kursu w dniu regulacyi. Opłata stemplowa oblicza się stosunkowo do nominalnej sumy, na jaką tranzakcya była zawarta. Minister skarbu udzielił zezwolenia na przyjmowanie złota na opłatę akcyzy od tytuniu, cukru i nafty, według kursu, oznaczonego przez ministra, a zakomunikowanego w drodze telegraficznej.— Kantor Banku Państwa w Warszawie już nabywa i sprzedaje monetę złotą ruską według kursu, oznaczonego przez ministra skarbu. Prócz tego, na żądanie, wypłacać będzie kantor należności, zamiast w rublach kredytowych, monetą złotą podług oznaczonego kursu. Tym sposobem tranzakcye na złoto znajdą ułatwienie. Kurs obecny dla kupna i sprzedaży monety złotej jest następujący: Imperyały nowego stempla 14 rub. 80 kop., półimperyały now. st. 7 rub. 40 kop., imperyały dawniejsze 15 rub. 24 kop., półimperyały dawniejsze 7 rub. 62 kop., dukaty dawnego stempla 4 rub. 57 kop.

— W obszernym artykule o cukrownictwie *Nowoje Wremia* wskazuje zniżenie akcyzy od cukru jako jedyny sposób zażegnania przesilenia w tej gałęzi przemysłu. Skarb nie straciłby na tem, gdyż zwiększyłaby się produkcya cukru wskutek wzmożonego spożycia i popytu.

— Pomiędzy Grecyą a Rosyą zawarto umowę, dozwalającą na przywóz z Grecyi do państwa rosyjskiego korka przez lat 10 bez opłaty cła.

— Według doniesienia *Gazety handlowej*, akcye Towarzystwa „Zawiercie“ mają być wprowadzone na giełdę peterburską.

— Pod nazwą „Siarka“ utworzyło się towarzystwo do eksploatowania rudy siarczanej na gruntach wsi Czarkowy hr. Pusłowskiego w pow. pińczowskim gub. kieleckiej, oraz w innych miejscowościach.

— Na głównych stacyach dróg żelaznych Południowo Zachodnich zarząd drogi rozpoczął zakupowanie żyta bezpośrednio od włościan.

— Kopalnie węgla Milowice przeszły na własność Towarzystwa sosnowickiego. Kapitał zakładowy Towarzystwa będzie zwiększony przez wypuszczenie 100-rublowych akcyj na sumę 2 mil. fr., których kurs określono na 125 fr.; dawni wierzyciele mają pierwszeństwo do nabycia akcyj. Tow. sosnowickie za sprawozdawczy rok ubiegły dało 5% dywidendy.

— Kompania tramwajów warszawskich wydziela za r. 1894 największą dywidendę od czasu istnienia, mianowicie [illegible] a nadto 1% przeznacza na amortyzacyę akcyj.

— Cukrownie w gub. kieleckiej, Łubna i Szreniawa, nadprodukcyę wysyłają na dalekie rynki Wschodu, do Teheranu. Fabryki te zastosować się musiały do wymagań tamtejszych i wyrabiają cukier w specyalnych formach, w małych główkach, wagi 6-funtowej, gdyż persowie nie chcą kupować naszych wielkich 30-funtowych głów cukru.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Ministeryum skarbu wyjaśniło, że asekuracya robotników od wypadków nie może się odbywać inaczej, tylko na rachunek fabrykantów, ponieważ ustawa nie przewiduje (art. 100 ust. przem.) uszczuplania pracy robotniczej na rzecz asekuracyi. Ministeryum wyjaśnia dalej, że fabrykant, asekurujący swych robotników, nie zwalnia się od obowiązku wynagrodzenia im szkód i strat z wypadku, w razie wytoczenia mu o to procesu sądowego.

— Wykazy urzędowe brazylijskiego stanu Parana, liczącego 300,000 mieszkańców, świadczą, że $^3/_5$ części wszystkich uprawnych gruntów w całym tym stanie, a mianowicie 91,634 hektarów, znajduje się w ręku kolonistów polskich.

— Obecnie w W. Ks. Poznańskiem istnieje około 40 kółek śpiewaczych polskich, powstałych w ciągu ostatnich lat dziesięciu; w Prusiech zachodnich powstało ich kilkanaście. Urządzają one zjazdy i popisy; zjazd tegoroczny odbędzie się w Gnieźnie.

— W Nowogródku w gub. mińskiej powstała straż ogniowa ochotnicza. Liczba członków wynosi 70; fun-[illegible]

— Gubernator irkucki otrzymał zezwolenie brać do pracy w hucie żelaznej Mikołajewskiej osiedleńców, zesłanych na Syberyę, oraz do robót przy budowie dr. żel. środkowo-syberyjskiej — więźniów miejscowych. Podobne pozwolenie uzyskał generał-gubernator nadamurski, przy budowie drogi nadamurskiej.

— Ogłoszona przez Bank państwa licytacya publiczna dóbr Lubartowskich nie przyszła do skutku z powodu braku licytantów. Nie stanęli też do licytacyi reprezentanci sfer arystokratycznych i finansowych warszawskich, którzy niegdyś konkurowali o nabycie z wolnej ręki tych dóbr, mających jeszcze znaczne lasy, aczkolwiek obciążone służebnościami.

— Wdowa po niedawno zmarłym księgarzu, Teodorze Paprockim, p. Zofia Paprocka, zawiadamia, iż jako ogólna legataryuszka męża swego, pod tą samą firmą i w tym samym zakresie, pod kierunkiem specyalisty, księgarnię nadal prowadzić będzie.

— Delegacya pracy kobiet przy tutejszym oddziale Tow. p. r. przem. i handlu powzięła myśl, aby ułatwić szwaczkom spędzenie pewnego czasu w porze letniej na wsi, w celu wzmocnienia zdrowia, nadszarpanego pracą i niehygienicznymi warunkami życia w mieście. Pracownice odpłacałyby za utrzymanie i koszt podróży kilkogodzinną pracą. Lipiec i sierpień nadaje się w tym celu najlepiej, gdyż w pracowniach miejskich zazwyczaj wówczas mało bywa obstalunków. Kandydatki zapisują się w wymienionem Towarzystwie, na dyżurach delegacyi, we środy i niedziele, od godz. 12 do 2-ej po południu. Piśmienne zapotrzebowania nadsyłać należy do biura Towarzystwa (Krakowskie Przedmieście, 66).

— Z Miechowa uciekł właściciel kantoru wekslu, Unger, pozostawiając pasywa, wynoszące 100,000 rs. Straty ponoszą głównie kupcy z Będzina i Częstochowy.

— Kółka rolnicze w Galicyi liczą 800 sklepików i 50,000 członków. Powiat krakowski posiada 32 kółka, a pod ich zarządem 27 sklepów i 18 czytelni ludowych.

Wyprawa naukowa. Członek węgierskiego sejmu, Eugeniusz hr. Zichy, wyruszył niedawno w podróż naukową na Kaukaz. Otoczony gronem specyalistów, hrabia zamierza studyować narodowości, spokrewnione z madjarami, zamieszkujące Kaukaz.

Koleje i komunikacye. Kosztorys drogi z Irkucka do jeziora Bajkalskiego w kwocie 2,216,735 rs. uzyskał zatwierdzenie. Do budowy jej przystąpią w r. b.

— D. 13 listopada r. b. rozpocznie się ruch prawidłowy pociągów na bocznicy krzemienieckiej.

— W b. m. rozpocznie się budowa drogi żelaznej z Samarkandy do Taszkentu.

— Ministeryum komunikacyj na r. b. wyasygnowało 18,842,500 rs. na wprowadzenie ulepszeń na kolejach państwowych. Najwięcej przeznaczono na budowę drugich par relsów na niektórych kolejach, tudzież budowę nowych wagonów pocztowych odmiennego typu.

— Dla uczniów, podróżujących w wagonach klasy III, ministeryum komunikacyj zniżyło opłatę za bilety w następującym stosunku: za przejazd od 70 do 140 wiorst bilet będzie kosztował 50 kop., od 140 do 900 wiorst — 1 rs. Za przejazd krótszy od 70 i dłuższy od 900 wiorst będzie pobierana opłata zwyczajna.

— Pierwsze Towarzystwo budowy dróg dojazdowych, powstałe z początkowania inż. Jełowieckiego, które przystąpiło obecnie do budowy kolei wązkotorowej z Berdyczewa do Żytomierza, uzyskało pozwolenie na zwiększenie swego kapitału zakładowego o 3 mil. rs., za pomocą emisyi nowych akcyj na 1 mil. rs. i obligacyj na 2 mil. rs.

— Budowa kolei z Ostrowa do Skalmierzyc ma być z pewnością rozpoczęta w m. b.

Zjazd. W d. 16 i 17 lipca r. b. odbędzie się w Krakowie zjazd chirurgów.

Z prasy. Dwutygodnik *Przegląd pedagogiczny* uzyskał od wydziału prasy pozwolenie na umieszczanie rysunków objaśniających.

Zdrowie publiczne. Grono lekarzy w lipcu r. b. otwiera w Warszawie zakład leczniczy, przeznaczony dla chorych stałych i przychodnich, dotkniętych chorobami skórnemi i wenerycznemi.

— Z powodu upałów, sprzyjających rozwojowi chorób żołądkowych i wogóle epidemicznych, p. gubernator warszawski polecił zorganizować komisye sanitarne, a w miejscowościach podmiejskich obywatelską straż zdrowia. Straż będzie zawiązana: w Powązkach, Czarnym Dworze, Młocinach, Słodowcu, Woli, we wsi Koło, Czyste, w Ochocie, Mokotowie, Sielcach, Jeziornie, Pruszkowie, Wawrze, Jabłonnie, Markach, Brudnie i Nowym Dworze.

— Projekt otworzenia w Gostyninie ambulatoryum dla chorych uzyskał zatwierdzenie władzy. Podobne ambulatoryum powstanie też we Mszczonowie.

— W Sochaczewie będzie otwarte ambulatoryum dla przychodzących chorych, z pokojem na kilka łóżek. W tym celu zatwierdzono etat rs. 910 rocznie na lekarza, felczera, wynajęcie lokalu, lekarstwa i środki opatrunkowe. Wszyscy ubodzy mieszkańcy będą otrzymywali pomoc lekarską bezpłatnie; inni mają płacić po 30 kop. za poradę. Na takie samo ambulatoryum w Skierniewicach wyasygnowano rs. 895.

Pożary. D. 6 b. m. wybuchnął pożar w farbierni i apreturze pod firmą A. Damoky w Łodzi. Spłonął gmach trzypiętrowy. Jeden z robotników uległ poparzeniu; fabryka zajmowała ich wogóle około stu. Była ubezpieczona w trzech towarzystwach; pali się po raz trzeci. Straty wynoszą około 50,000 rs.

— D. 5 b. m. w Wolbromie ogień pochłonął 40 budynków.

— Jak donoszą z Katowic, w kopalni hr. Donnersmarka, w szybie zwanym „Gottessegen,“ wybuchł pożar. Znajdowało się tam około 500 górników, z których wyratowano na razie tylko 42. Los pozostałych prawie beznadziejny.

— Znaczny pożar nawiedził d. 6 b. m. miasto powiatowe Pińsk w gub. mińskiej.

— Wieś góra pod Bełzem, w pow. sokalskim, licząca 57 numerów a 303 mieszkańców, spłonęła prawie doszczętnie, gdyż spaliły się 43 domy oraz cały inwentarz i zapasy; ocalało tylko bydło, które pasło się w polu.

— W Newlu, w gub. witebskiej, spaliło się 259 domów.

Wypadki. We Włoszech północnych i południowych prowincyach Austryi, dało się kilkakrotnie uczuć w dniach ostatnich silne trzęsienie ziemi.

— Powódź, która niedawno nawiedziła Balingen w Wirtembergii z powodu oberwania się chmury, oprócz ogromnych szkód materyalnych, zabrała 41 ofiar w ludziach.

— Miejscowość lecznicza na Węgrzech, Kobold (Kobersdorf) zalały wody, które spłynęły z gór, wskutek ulewnych deszczów. Zginęło 12 ludzi.

— Przy odnawianiu domu przy ul. Wolskiej spadł z rusztowania, z wysokości 3-go piętra, robotnik Karol Kozlakowski. W szpitalu św. Ducha stan jego uznano za groźny. W kilka godzin z tegoż rusztowania spadł sam majster, Piotr Prochowski i po upływie dwóch godzin zmarł. Przyczyną wypadku było złe zawieszenie rusztowania, złożonego, jak zwykle przy malowaniu domów, ze zwyczajnej drabiny.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Żyrk. w Morszańsku. Obie te książki wyczerpane; pieniądze zaliczymy na prenumeratę.

Panu M. K. Cóż my jeszcze do poprzedniego objaśnienia dodać możemy? Wywód F.—o ile go znamy—nie wytrzymuje krytyki logicznej, nie jest oparty na żadnem doświadczeniu, nie powołuje się na żadne fakty, więc po co ufać pierwszemu lepszemu paradoksowi? Czyż podobna przypuścić, ażeby np. człowiek przesądny wyleczył się czytaniem „Sennika egipskiego“?

Staraniem **Spółki Nakładowej** *wyszedł z druku:*

ZARYS
Najnowszej Literatury Polskiej
(1864—1894)

Dra Piotra Chmielowskiego.

Str. XX i 484.

Cena rs. 2 kop. 50, z przesyłką rs. 2 k. 80

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 2 Іюня 1895 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka, Nr. 8.